

1926

akt sach

ROK LIX. OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM Nr. 1

PIŁUSZCZ



WARSZAWA, 2 STYCZNIA 1926 ROKU

ANNA SŁONCZYŃSKA

MUZYKA SŁOŃCA I BOŻE GNIAZDO (poezje) 2 TOMIKI ZŁ. 5.
 :: :: :: NAKŁAD LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO, WILNO :: :: ::
 DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

OD ADMINISTRACJI

Uprzejmie prosimy Sz. Panie Prenumeratorki

1) o podawanie nam przy zawiadamianiu o zmianie adresu również i adresu poprzedniego;

2) o dołączanie do listów znaczku pocztowego za 15 groszy na odpowiedź;

3) o zawiadamianie nas w ciągu 7 dni w razie nie otrzymania poszczególnych numerów pisma.

W tym ostatnim wypadku prosimy z góry o łaskawe zaczekanie na ponowną wysyłkę brakującego numeru, gdyż może ona nastąpić dopiero po wystosowaniu reklamacji do odpowiedniego urzędu pocztowego i otrzymaniu wyjaśnienia.

4) o podawanie na przekazach pocztowych względnie na czekach P. K. O. dokładnego adresu pod którym „Bluszcz“ ma być wysyłany (imię, nazwisko, miejsce zamieszkania, ulica i numer domu).

Czeki P. K. O. dołączyliśmy do N.-ru. 51-52.

Z POWAŻANIEM

Administracja „BLUSZCZU“

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH
 KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NA NO-
 GACH, NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANA OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWOJĄ
 SKUTECZNOŚCIĄ, CZEGO DOWODEM SĘTKI
 UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza E. SOKALSKIEGO w Kętach—Małopolska.



ROK LVIII

NR. 1

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 2 STYCZNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: W imię zdrowego jutra — *Wanda Pełczyńska*. Naprzeciw przyszłości — *Z. Zawiszanka*. By nie zmarnować sił — *C. Walewska*. Obniżyć stopę życia — *H. Ceysingerówna*. Świat kobiecy — *Marja Grossek-Korycka*. Wiersze — *Hrabina de Noailles* (przekład *Marji Kossak-Pawlikowskiej*). Jedno spojrzenie — *Marja Kuncewiczowa*. Dziecko — *Sigrid Undset*. Złoty wiek — *Tadeusz Zieliński*. Na stopniach tronu — *Marjan Dubiecki*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Z ruchu wydawniczego. — Dział praktyczny: Mody i roboty. Fantazyjny kwiat do przybrania sukni. Starsze panie... — *W. D.* Nowa sztuka w ogrodach — *W. D.* Batik — *Marja Zawadzka*. Reforma gospodarstwa domowego — *Felicja Sachówna*. Zwyczaje wigilijne na Śląsku — *Bronisława Szymkowiakówna*. Brak kurzu w mieszkaniach jest warunkiem zdrowia. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dział rozrywek umysłowych. Dodatek powieściowy: „Jaremką i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta) — *Hugh Walpole* — (tłum. z angielskiego *Irena Wasiutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

W IMIĘ ZDROWEGO JUTRA

„To rzekłszy zawołał głosem wielkim:
Łazarzu wyniđź z grobu!

I natychmiast wyszedł, który był umarły,
mając ręce i nogi związane chustami, a twarz
jego była chusta obwiązana. Rzekł im Jezus:
rozwiążcie go i puśćcie, aby szedł.”

Ewang. według Jana. XI.

W najgorszych chwilach represyj po powstaniowych czuliśmy w sobie biologiczną siłę państwowotwórczą, pod gruzami nadziei, rozwalonymi brutalnym gwałtem przemocy, tliła się zawsze iskra wiary w siebie. Umiano „poić łzami i karmić nadzieją” tęsknotę za dniem zmartwychpowstania. Nie było obowiązującej więzi zewnętrznej, w żywym ciele krwały się granice rozbiorów, ale więź wewnętrzna, ale siła dośrodkowa skupiała rozproszonych i rozbitych dokoła wiary głoszonej przez proroków, że oto „trzeciego dnia dusza wróci do ciała i naród zmartwychwstanie”.

Gdy sen proroków ziścił się, w budzącym się do życia narodzie wytrysły takie źródła siły i młodości, buchnął takim żarem płomień entuzjazmu — że zdało się — iż lata niewoli minęły bez śladu. Życie, prace, rozwój sił materialnych, wytwarzanie wartości moralnych, wszystko pędziło z rozmachem

w przyszłość. Wówczas to z pod pióra wielkiego patrioty, — Stefana Żeromskiego, płynęły słowa głębokiej wiary w siły twórcze narodu, słowa pełne mądrego i dojrzałego optymizmu: „W przeciągu jednego roku szybkość postępu polskiego wykonywuje bieg nadzwyczajny”. „Niesłuszne są martwe wyrzekania, naśladowanie starych wyrzekań, dziś już bezprawne, a często nawet bezmyślne, snobizm wyrzekaniowy, tak powszechny i modny”. „Niewidzialnymi drogami, otworami tajemniczych porów wstępuje tęgie zdrowie w ciało ojczyzny. Słońce i powietrze je karmi, wiatr je podpira, a niepojęta siła życia podwaja i potraja w każdej minucie siły”.

Czyżby po pierwszych blaskach słońca — przysły chmury, czyżby po pierwszym uśmiechu szczęścia przyszedł smutek i zwątpienie. A jednak coś się zepsuło w mechanizmie państwowym, wielkie koło rozpędowe zwolniło biegu. Lęk wstrząsnął sercami najmężniejszych. Najwytrwalsze i najpilniejsze ręce oderwały się od warsztatu swej pracy i załamały w geście zwątpienia.

Kryzys gospodarczy?

Kryzys gospodarczy nie jest przyczyną. Przyczyny tkwią głębiej. Z dnia na dzień staje się coraz bardziej jasnym, że wstrząs gospodarczy kraju ma

swój tajemny związek z upadkiem zdrowia moralnego narodu, że zło dotarło aż do głębi organizmu narodowego, aż do źródła tej siły — która wywiodła nas żywych z domu niewoli.

To nietylko bieda zagląda ludziom w oczy — i gasi uśmiech. Przechodziliśmy już przez okres różnych niedoli materialnych, ale nigdy jeszcze atmosfera, w której się żyło, nie była przesiąknięta takim smutkiem — jak dziś właśnie. Jakiś bakcyl niezadowolenia zatruwa atmosferę, na całej szerokości ojczyzny jest dziwne odprężenie woli i smutne stwierdzenie faktu — że jest źle.

Istotnie jest źle! Tylko trzeba jasno zdać sobie sprawę — dlaczego?

Jest źle — dlatego że powietrze w Polsce przepełnione jest niezdrowymi wyziewami niewoli, jest źle — bo ciągle, na każdym kroku w życiu publicznym roi się od drobnych podłostek, szalbierstw, przekupstw, nadużyć, defraudacyj — bo wszędzie w życiu publicznym i prywatnym wślizgnie się małeńka protekcyjka, która odsunie na bok ludzi właściwych i powołanych — a wysforuje naprzód lichych, a giętkich w karku. Jest źle — bo chciwość grosza każe chwycić za każdy zarobek — byle był popłatny i sowity.

Ale przede wszystkim jest źle dlatego, że stępniała wrażliwość opinii publicznej, że niejednokrotnie głos oburzenia słabnie i ustępuje miejsca jakiemuś pobłażliwemu zmęczeniu, które każe wiele przemilczeć i wiele przeoczyć.

Tematem rozmów towarzyskich stają się opowiadania o przekupstwach różnego rodzaju, łapówkach, defraudacjach, — wielokrotnie padają nazwiska, szeptane dyskretnie na ucho, ludzi o których powszechnie wiadomo, że popełniają nadużycia — ale tak zręcznie, że nikt ich za rękę nie złapał. Skąd bierze się w nas ta pobłażliwość, w nas, którzy z taką łatwością obrzucaliśmy gradem obelg i insynuacyj najwyższych dostojników państwa — pierwszych w Rzeczypospolitej mężów stanu.

Skąd bierze się w nas ta dziwna, niezrozumiała bierność, która pozwala powtarzać opowieści o najohydniejszych występkach przeciw etyce obywatelskiej tonem, którym się opowiada dobre „kawały“, lub frapujące anegdoty. — Dlaczego tak łatwo przechodzimy do porządku dziennego i pokrywamy to wszystko przebaczącym milczeniem.

Jeżeli tępienie nadużyć i występków przeciw uczciwości i moralności publicznej pozostawimy tylko prokuratorom, to nie usuniemy zła.

Są winy w życiu obywatelskim drobne i niemal niedostrzegalne — winy, które nie kwalifikują się pod miecz sprawiedliwości — a jednak to one właśnie zatruwają powietrze w Polsce, czyniąc je nieoddychnalnym.

Obowiązkiem opinii publicznej jest wyoszczędzić słuch i napiąć do najwyższych granic uwagę: nie darowywać, nie przebaczać — lecz tępić.

Tępić zło, które opanowało życie wewnętrzne, tępić w imię czystości i żarliwości moralnej — bez której musi zmarnieć każdy naród.

Oto odzyskaliśmy ojczyznę. — Jak ongiś do Łazarza, rzekł Bóg do narodu naszego słowo zmartwychwstania: „Wynijdź z grobu“. I wyszliśmy. — Ale jak ongiś z Łazarza tak i z nas nie opadły chusty grobowe — trzeba je rozwiązać i precz odrzucić, aby nie zatruwały rzeczywistej siły życia, która w nas jest.

Dowody tej siły złożył nasz naród po tysiące tysięcy razy — niechże się ona znów przejawia w rzetelnej pracy, niech się wcieli w bohaterskie wysiłki, w nieustanne, nieustępliwe tworzenie.

Gdy stajemy u progu Nowego Roku — gdy spoglądamy z trwogą i niepewnością w jutrzejszy dzień — który idzie ku nam — musimy sobie uświadomić — że pierwszym obowiązkiem naszym jest wystąpić do walki z pogrobową zgnilizną.

Wykształćmy w nas samą szlachetną zdolność natychmiastowego reagowania na każdy czyn, obniżający poziom życia obywatelskiego.

Nie wprowadzajmy do naszych domów tak bardzo dziś modnego „snobizmu wyrzekaniowego“, który pada ciężkim ołowiem na wrażliwsze serca, a w istocie rzeczy stoi w nieświadomym przymierzu ze złem.

Niech o uszy naszych dzieci nie obijają się bezustanku słowa utyskiwania na upadek życia etycznego, słowa, które do żadnego czynu nie prowadzą.

Jak ongiś matki nasze potrafiły wszczepić w dusze dzieci siłę wewnętrzną, która spajała w jedno rozbitą, rozszarpaną naród, tak samo i my w imię szczęścia dni, które ku nam idą, wytwórzmy atmosferę zdrowia i tężyzny moralnej, która podwoi i potroi, tkwiącą w naszym narodzie siłę życia.

Wanda Pelczyńska.



Ca 434

NAPRZECIWIW PRZYSZŁOŚCI

Cieniem Żeromskiego i Reymonta.

— „W was będzie łkanie naszych pier-
si, w was bicie serc”. (Żeromski)

Podziwiam cię, duchu narodu mojego, na szczytach twych — poprzez śmierć i narodziny, od wielkich grobów po tajemnicze, radosne kolebki! Ty, wartki, nieustraszony, niezniszczalny — jak żyłeś pod głazem niewoli, tak i ciężką prozę ziszczoną niepodległości przetrwasz — mocarzu!

Tyś to jest w głębokim pogwarze lasów, w srebrnym dreszczu łąnow dojrzewających, w śnieżnej wichurze. Ty wstrząsasz mury kościołów chóralnym jękiem ludu: „Święty Mocny!” — Tobą tętnią odwieczne bajki i bohaterstwa wszystkich polskich bitew — zacięte tęsknoty do sprawiedliwości, sny o mocy.

W zywam ciebie, wzywam: nie opuszczaj!

Jest coś, co serce przekazuje sercu, tam, na wyżynach — od artysty słowa do artysty czynu, barwy, dźwięku — z wieku w wiek, w dal, w zawrotną perspektywę nieśmiertelności...

„O, śnie wieczny, śnie wieczny! Na pograniczu cichego lasu i łąk, od wilgoci łąk, od wielkiego bogactwa traw, pachnących we dnie i w nocy — śnie wieczny... O, dobrotliwy spoczynku kości znużonych! W świętej ciszy nocnej, pod rosą, z niebios zstępującą... O, puchy miękkich traw, które przyniesie wiatr wiosny! Kwiaty, mające się z nas narodzić! Błogosławione nasionka, któremi proch nasz zapłodnią ptacy i motyle“...*)

O, kwiaty! gdzieś wy już kiełkujecie w głębokim ukryciu, w cieniu, co otula troskliwie wszelki początek wielkości... Nie trzeba was szukać, — nie trzeba przed czasem, broń Boże, niecierpliwymi palcami rozwierać waszych płatków.

Ja tylko chcę powiedzieć, że wy jesteście gdzieś — bo być musicie!!! Ja tylko najczulszą myślą błogosławie waszej wiosny — i jakże się cieszę niewymownie na te pierwsze nieśmiałe pędy, któremi był swój cudny słońcu oznajmiacie!

Ja was tylko odgaduję nieśmiało na chmurnych czołach niezgrabnych uczniaków, w przeczystych oczach jasnych dziewczątek, w zbyt mądrym szczeniobocie tych, co ledwie nóżki stawiają po ziemi — wokół złocistych łebków niemowląt... Przewiduję

*) Żeromski — „Popioły” t. I str 176.

i uwielbiam waszą możliwość w miłości każdej — pod każdym polskim dachem...

O, radości, że wy gdzieś rośniecie pokrywom — przyszłe duchy opiekuńcze, wodze, geniusze mojej Ojczyzny! O, dziwie najgłośniejszy, o cudzie!

Pada zimny, cichy śnieg na ukwiecony grób wielkiego poety — a gdzieś tam słodki głos matki szepce nad białym łóżeczkiem: „czy ci nie zimno, dziecińko? dobranoc!”

Cóż tam roi głowina półsenna pod pieszczotą miękkiej dłoni? Czy matka coś już przeczuwa?.. Niewiadomo gdzie to, może nad Bałtyckim wybrzeżem, może we Lwowie najmężniejszym, lub na mazurskiej równinie — w stolicy? czy na Litwie głębokiej?

Ale ona gdzieś już tkwi — najdostojniejsza tajemnica. Pada zimny śnieg na świeże groby, przez Polskę całą płakane, a gdzieś tam 2-o, czy 3-o klasista pisze i przepisuje szkolne zadanie, kreśli, przekreśla, zły na siebie — bo sam nie wie, skąd mu takie dziwne myśli przychodzą i ani rusz to właśnie wyrazić, coby chciał. A wiejski podrostek wyrzyna kozikiem uparcie dziwne figurki i sam je psuje potem, bo mu się nie podobają — chciałby się więcej uczyć i często płacze po nocach... Czy to się dzieje pod Krakowem, czy w Tatrach, czy nad niemiecką granicą?

Wszystko jedno! im obu posyłam od ust pocałunek i proszę każdego: baw się wesoło i długo, zanim potrafisz to godnie wyrazić, co ci w duszy gra!

Was wszystkich obejmuję sercem, zgłodniałem wiecznego Piękna — was, co przejmiecie berło, wypuszczane powoli z martwiejących rąk naszego pokolenia... Niech Bóg strzeże domów i rodziców waszych — wy, co będziecie kiedyś narodowi ojcem i matką, pobudką i ostoją! Niechże was hojnie darzy dużo jeszcze św. Mikołajów i Gwiazdek iskrzących — niech dużo wonnych wiosen i żniw złocistych opęta was szałem dzikiej swawoli! Niechaj powaga powołania nie przyćmi zbyt prędko waszej bez troski — i obyż was nikt nie „odkrył” przedwcześnie!

Rośnijcie w zdrowiu i ciszy — wy, najcenniejsze dobro nasze! Zbierajcie siły, pijcie soki odżywcze z żywiołów i dziejów tej ziemi!

Kwiaty na mogiłach — kokony „cudnoskrzydłych motyli rodu człowieczego” — młode nadzieje jutra — pozdrawiam was!

Z. Zawiszanka.

BY NIE ZMARNOWAĆ SIĘ

Początek roku nowego jest, jak słup graniczny, przy którym staje ktoś czasem i patrzy, którądy iść dalej?

Sunie tłum szary utartą koleiną, jak za prababek i jak za prababek pędzi garstka szaleńców na oślep, kędy pogna ją wicher porywów, nie bacząc, co przyniesie ten wymarsz opętańczy — skarby Sezamu, czy piołunową zaturę nadziei?

Z temi, co stoją w zadumie przy słupie granicznym, pomyślmy ku jakiejście drodze podążyć, żeby nie zmarnować nakładu sił?

Świat powojenny chce otrząsnąć się z chaosu. Wszyscy już mają dosyć odmetów. Przemożne pragnienie spokoju, bezpieczeństwa życia i bezpieczeństwa pracy wibruje w piersi francuza czy włocho, anglika czy neutralnego szwajcara. Budzi się potrzeba łączności międzynarodowej, aby na tej spiżowej podstawie zacząć budowę dzieła odrodzenia. Jeszcze — jak na dnie wzburzonego oceanu — przelewają się brudne męty; jeszcze huczą groźne pomruki; jeszcze wyciągają macki polipy judzeń potwornych; jeszcze wypływają żarłoczne demony krwi, ale już coraz bardziej ucisza się powierzchnia i jakby

z przestworów idzie wołanie o pokój na ziemi. Może nie doczeka się go starsze pokolenie, które przeżyło wojnę. Rachunki międzynarodowe wciąż powikłane i trudne do rozplątania. Zatwardziałość nieustępliwa trwa. Jednak musi nastąpić gospodarczo społeczne uporządkowanie świata, żeby raz wreszcie powstrzymać bułgot wulkanów.

Polska jest ogniwem niezbędnym w łańcuchu dążącym do ustalenia pokoju wszechświatowego. Chodzi jednak o to, aby — po za językiem u wagi w sprawach polityki międzynarodowej — stała się doniosłym czynnikiem w postępie kultury ogólnej. I dlatego trzeba obmyśleć głęboko kierunki dróg naszych, trzeba rozważyć, co najpilniejsze i najkonieczniejsze do zrobienia, jak wyzyskać siły nasze, żeby nic z nich nie uronić.

Mieliśmy czasu niewoli ofiarnice i ofiarników, którzy z elementarzem polskim szli od chałupy do chałupy i z izby do izby proletariatu miejskiego. Nie było pięści moskiewskiej czy pruskiej, któraby ich powstrzymała od tego. Dziś trud ten spadł z bark naszych. Dziś mamy wolną, dla wszystkich otwartą szkołę polską. Dziś na rząd nasz własny spada troska o tępienie analfabetyzmu. Ale zmienia się tylko rodzaj, forma pracy. Jak niegdyś z elementarzem w ręku mówili dzieciom, przekupkom, chłopom, rzemieślnikom o Polsce, która była i o Polsce, która będzie, — tak dziś bez elementarza — niech mówią im, jakim powinien być Polak w tej wolnej, krwią własną i odprężeniem w niewoli okupionej Polsce. Tajną oświatę prowadziły przeważnie kobiety. Z omdleń porewolucyjnych 1863 r. dzwigały duszę i myśl polską też kobiety — Entuzjastki i Klaudynki. Więc dziś — na czele wielkiej pracy obywatelskiego uświadamiania narodu powinna stanąć przedewszystkiem kobieta. Nie zrobi swego wprowadzona w szkołach „Nauka obywatelstwa“. Kto może, niech samorzutnie wchodzi do chałup i suteryn, niech szuka rozmowy z przekupką, woźnicą, rzemieślnikiem, inteligentem? Niech szerzy hasło poszanowania władzy, prawa, zarządzeń, mających na celu wydzwignięcie państwa z obciążeń powojennych. Niech uczy, że każdy pojedynczy wysiłek w kierunku — dajmy na to wzmoczenia wydajności pracy, wstrzymanie ucieczki od złotego itp. przyczynia się do stworzenia wysiłku zbiorowego, który jest najpotężniejszą dźwignią wszelkich podjętych czynów. Niech wskaże najdalsze bodaj światełka nadziei, żeby uchronić naród od zwątpienia, za którym idzie niemoc walki. Niema tak groźnych warunków, którychby twardą wolą zbiorowego wysiłku nie można przezwyciężyć. Defetyści są, jak ci, co podcinają gałąź, do której sami przywarli. Defetyści nasi ostatniej doby, szerząc popłoch, chcą pogrzebać Polskę. Ale nie czas jeszcze na requiem. Stoimy silnie, mimo chwilowego finansowego zamętu. Nigdy nie należy odbierać wiary „będzie lepiej“, bo jedynie optymizm jest czynnikiem twórczym — pesymizm ma w sobie zaródź zniszczenia. Jak z samorzutnych pojedynczych wysiłków w dziedzinie tajnej pracy oświatowej powstały wielkie jej ogniska w byłym zaborze rosyjskim i poniekąd pruskim, — tak z tych jednostkowych starań o przyuczanie polaków do myślenia kategorjami prawych obywateli wolnej Polski, niech wynikną poczynania zbiorowe. Jak pod buławą Klaudynek, Entuzjastek i hetmanek tajnego nauczania, tak teraz niech zawrą się w jedno wielkie koło siłaczki kobiety całej Polski, — niech stworzą Ligę kształcenia charakteru na-

rodowego, któraby współdziałała zadaniami szkoły. Poprzez stowarzyszenia i związki dotrzeć dziś może na wszędzie. A słowo natchnione więcej robi, niż książka i wykład nauczyciela, niezawsze płomienny, czasami, niestety, na ściśle urzędowych przesłankach oparty. Wypłynęły na powierzchnię wolnej Polski wszystkie dawne wady narodowe. Wielkiem przykazaniem dzisiejszym jest wykorzenienie ich i gruntowanie w każdym polaku poczucia odpowiedzialności za całość i trwanie kraju rodzinnego.

* * *

Stoją przed nami wielkie zadania wychowawcze, które wymagają niezwyklej rozwagi w ujęciu istoty ich i wykonaniu zamierzeń.

Reforma szkolnictwa. Przeprowadzenie jednolitości szkoły, czyli jej demokratyzacja, usunięcie przepaści między inteligencją, a resztą społeczeństwa.

W państwach zdemokratyzowanych oddawna już siedzi młody książę, albo syn miliardera (amerykańskiego) obok syna, lub córki szewca. Jedna szkoła dla wszystkich. U nas — rodzi się dopiero zrozumienie tej potrzeby i w tym kierunku ma być przeprowadzone nowe ustawodawstwo o organizacji szkolnictwa w Polsce. Zamierzone jest zniesienie niższych klas szkół średnich. Zastąpią je oddziały szkoły powszechnej, która ma przesiewać przez sito uczniów. Tylko zdolni i bystrzy będą dopuszczani do dalszej nauki — reszta zaś kierowana ku kształceniu wyłącznie zawodowemu.

Projektowana reforma szkolnictwa nie nastąpi w szybkim tempie. Ustawa musi przejść przez sejm, gdzie napotka niewątpliwie liczne przeszkody. Następnie — przez senat. Wędrując od komisji do komisji nieprędzej jak w ciągu roku obiegnie wszystkie instancje. Może tylko tytułem próby — jak uchwalili kongres nauczycielstwa szkół średnich w Warszawie, a może w przeciągu lat dwudziestu kilku zostaną zniesione niższe klasy szkoły średniej. Może innym sposobem będzie przeprowadzona reforma. W każdym razie nauczycielstwo szkół powszechnych już dziś ze zdwojoną energią winno baczyć, aby w równym tempie z nauką szedł postęp kultury obywatelskiej uczniów. Robi się to wprawdzie już obecnie, ale nie z tem napięciem, jakiego wymaga dobro klas proletariackich, gdzie dom zaciera najczęściej wpływ szkoły. Urządzać częściej zebrania rodziców, podnosić ich samych kulturalnie, aby nie psuli oddziaływania nauczycielstwa — wtedy dopiero spokojnie będzie można myśleć o zespoleniu na jednej ławce małego inteligenta z rozwałęsanym Antkiem z nad Wisły.

Pożądane jest oddziaływanie tych dwóch sfer na siebie i to jest jednym z celów zamierzonej reformy. Jednak — musi ona polegać na posuwaniu dołu ku górze, nie zaś przeciwnie.

Kobieta jest wychowawczynią narodu. W jej rękach przeważnie szkolnictwo początkowe. Ona też więcej ideowo od męskich kolegów pojmuje zadania swoje. Przed nią więc ścielą się rozłogi pracy, tem intensywniejszej, im z większym niepokojem oczekiwane są jej wyniki.

Zadań przed nami bez liku, bez miary. Równocześnie z reformą szkolnictwa średniego położony będzie nacisk usilny na kształcenie zawodowe, które już znakomicie rozwinęło się w wolnej Polsce i będzie wymagało coraz więcej sił pedagogicznych.

Wielkim głosem wzywa o pomoc szkolnictwo nasza emigracja — we Francji, w Ameryce, gdzie obecnie najliczniejsze mamy skupienia wychodźstwa

polskiego, któremu brak inteligenckich sił kierowniczych, skutkiem czego wynaradawia się szybko. — Ciężką walkę o szkołę polską prowadzić musi Śląsk Cieszyński, gdzie Niemcy potworzyli komitety dla swoich własnych prywatnych szkół dokształcających, które usiłują zabić nasze szkoły tego typu, rozporządzające znacznie mniejszymi funduszami. — W Prusach Wschodnich, zwłaszcza w okręgu olsztyńskim i kwidzyńskim panuje niesłychany ucisk mniejszości polskiej. Nauka języka polskiego jest zupełnie zaniedbana z powodu rzekomego braku nauczycieli. — Pionierów oświaty i kultury polskiej łakną takie środowiska rdzennie polskie, jak np. Cieków i Grodziec, gdzie koloniści niemieccy stanowią 50% ludności i odgradzili się takim murem chińskim od Polaków, że dostęp do nich mają tylko emisariusze Rzeszy niemieckiej. Prowadzą swoje własne szkoły, zakupy robią tylko w sklepach żydowskich, gdzie mogą porozumiewać się w swoim własnym języku. Zamiast nasiąkać kulturą polską, przyciągają ku sobie Polaków, którzy się tam Niemcami. — Składała ludność nasza tych środowisk ofiarę krwi swojej za Polskę w 1863 r. i w czasie walk o niepodległość ostatnich. Ale niema tam inteligentów — ideowców, którzyby szerzyli polskość nie tylko w chwilach nagłych, lecz utrwalali ją nazawsze. Wylizanie placówek wymagających pracy i po-

święcenia najlepszych naszych żywołów, mogłoby ciągnąć się bez końca.

Starczy jednak wskazanie choćby [tych kilku powyższych na dowód niezaspokojonych, a krzyczących potrzeb.

Głównym czynnikiem w sprawach szkolnictwa na wychodźstwie i w walce o szkołę polską z Niemcami stać się musi rząd, niezawsze, niestety* przestrzegający praw nam przynależnych.

Przy zawieraniu konwencji francusko-polskich np. pominieliśmy najzupełniej kwestię szkół i ochrony dla dzieci wychodźców naszych. A brak podstaw prawnych utrudnia dziś niesłychanie rozwiązanie sprawy. Rząd również winien wejść przedewszystkiem w sprawę szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim, w Prusach Wschodnich i w tych wszystkich środowiskach naszych, które skupiają większą ilość mniejszości osiadłej. — Ale poza rządem niezbędna jest pomoc i współpraca ludzi dobrej woli.

To też ci, co stają przy noworocznym słupie granicznym i zastanawiają się, dokąd iść, — niech pomyślą, ile korzyści przysporzyłoby społeczeństwu i państwu polskiemu, obierając ścieżki mało lub wcale jeszcze nie wydeptane, a prowadzące do jasnych celów gruntowania kultury naszej i rozszerzania jej wpływów tam, gdzie najchwiejniejsze są jej podstawy.

[C. Walewska.

OBNIŻYĆ STOPEŃ ŻYCIA

Oczywiście nie mówię do tych, których poziom potrzeb życiowych zrównany już został z poziomem zimnego łożyska Wisły, lub z równią pochyłą warszawskiego bruku, po której, prowadząc koczowniczą egzystencję pełną smutnych przygód, staczają się coraz niżej i niżej...

Jakkolwiek tych jest bardzo wielu, jak świadczą choćby dziennikarskie notatki o samobójstwach z nędzy i omdleniach głodowych — to jednak są i inni.

Mówię przedewszystkiem do kobiet pracujących, do kobiet zarobkujących na utrzymanie siebie i swoich rodzin, a które ogólna konjunktura ekonomiczna zmusza do czynienia coraz większych i coraz bardziej beznadziejnych wysiłków.

Światem zatrzęsła wielka wojna i związane z nią przewroty.

Spustoszyła ona centra rolnicze i przemysłowe, poniszczyła narzędzia produkcji, wyczerpała siłę ludzką, zamknęła i wyjałowiła na długi okres czasu takie kolosalne rynki zbytu, jak Rosja europejska i azjatycka.

Zdawałoby się, że po katastrofie tego rodzaju ludność głowę posypie popiołem, oplakując swoje barbarzyństwo i zbrodnie, a przynajmniej, iż zrozumie, że stała się o wiele uboższą, niż przed wojną, że jest zrujnowaną, że zniszczonego dorobku wielu pokoleń nie da się, nawet przy najgorliwszej pracy i pilności w krótkim czasie odzyskać — a zatem, że potrzeba pracować podwójnie, a obniżyć skalę wymagań o 50, albo i więcej procentów.

Aliści dziwną zagadką nieznanym nam i niezbadanym procesów psychicznych stało się, że jak gdyby opary krwi i prochu bojowego uderzyły do głowy pozostałym przy życiu. Zaczął się powojenny szal, szal zbytku, użycia, głód wielkich i nagłych

zysków, pożądanie uciech najintensywniejszych i najbardziej wyrafinowanych, gorączka rozkoszy krótkich, ale mocnych. I całe życie współczesne świata dostroiło się do tego tonu.

M, w Polsce, znaleźliśmy się podwójnie na ruinach. Nietylko na ruinach uczynionych przez Wielką Niszczycielkę, ale także na tych, które utrzymałyśmy w spadku po gospodarce państw zaborczych.

Galicja przez cały czas przynależności swojej do Austrii była przecież pastwą najintensywniejszego i najbezwzględniejszego wyzysku.

Kresyl — Któż byłby w stanie obliczyć ile strat materialnych przyniosła tym ziemiom polityka tępienia polskości?

Prześiedlanie dziesiątek tysięcy rodzin pracowitej i kulturalnej szlachty drobnej, prześladowanie i zsyłki unitów i t. d., nie mówiąc już o powstaniach i ich skutkach, jakże się fatalnie odbijały na stanie gospodarczym tego kraju.

Pozorna zamożność przedwojenna Królestwa, związana nierozdzielnie z eksportem do Rosji, upaść musiała, gdy tego olbrzymiego rynku zbytu [na wszelką tandetę zabrakło.

Dodajmy przytem, że rządy zaborcze austriackie i rosyjskie eksploatowały tylko nasze dziełnice, nie czyniąc w nich żadnych inwestycji, nie budując nawet dróg (jak n.p. w Królestwie), a linje kolejowe wyznaczając nie w zastosowaniu do potrzeb gospodarczych danego terytorjum, lecz wyłącznie do celów strategicznych.

Odziedzyczyliśmy zatem nędzę i zacofanie kulturalne o wiek przeszło. Wydobyliśmy się przytem na świat w chwili, gdy i on, zniszczony wojną, łamie się z trudnościami gospodarczymi.

Trudności te przeżywa nawet taka potęga finansowa, jak Anglja. Położenie ekonomiczne Francji nie lepsze jest od naszego. Niemcy, choć rozwinęły po wojnie mrówczą pracowitość i podniosły kolosalnie swoją wytwórczość przemysłową, zwłaszcza w pewnych gałęziach przemysłu — walczą wciąż z kryzysem ekonomicznym.

Nie jesteśmy zatem pod tym względem żadnym wyjątkiem, ale to właśnie czyni naszą sytuację tem trudniejszą. I na to niema rady narazie.

Nie należy wyrzekać na Rząd. Żaden Rząd i żaden minister skarbu nie odmieni faktów dziejowych.

Należy przystosować się do sytuacji.

A my jesteśmy w najwyższym stopniu nieprzystosowani.

Tam, gdzie nie zmusiła już bezwzględna konieczność, tam nie spuściliśmy z tonu ani o jeden stopień. Przeciwnie, skala wymagań naszych od życia wzrosła w stosunku do czasów przedwojennych. Gdy tylko na chwilę uśmiechnie się powodzenie, rzucamy się na zbytek, jak na jedyne szczęście, jedyne upojenie.

Ludzie, którzy niedawno w Rosji żywili się otrębami, albo jadali pierożki z fusów, przybywszy do Polski, pytają nie o chleb powszedni, ale o ananasy. O tem niebacznym podniesieniu skali wymagań świadczą przedewszystkiem stroje kobiece. Któraż z nas, kobiet pracujących nosiła przed wojną na codzień suknie jedwabne, któraż z nas nosiła jedwabne pończochy?..

Zaprawdę, zostawiałyśmy to bankierównom i demi-mondainom. Pozwoliłyśmy teraz zagranicznym kupcom i fabrykantom narzucić sobie modę, rujnąjącą nasze budżety, a w dalszym ciągu rujnąjącą nasze siły, albo nasz honor, albo jedno i drugie.

Trzeba rozpocząć rodzaj krucjaty za wprowadzeniem w życie w powrotem skromnych i trwałych sukien wełnianych, krajowej produkcji. Dopóki nie będziemy mieli własnych tkanin jedwabnych (n. b. nie ze sztucznego jedwabiu), dopóty nosić nam ich nie wolno. Nosić je jest nonsensem. Dlaczego kobiety rozumne, inteligentne, kobiety pracujące, pozwalają teroryzować się opinii, wytworzonej przez kobiety nierozsądne, płytkie i lekkomyślne?..

Powiecie, że to w imię piękna?.. Ale nie!

Piękno postaci kobiecej, zwłaszcza dziś, gdy ją moda tak uwydatnia, zależy od piękności linii, od gibkości ciała, od zdrowia i ćwiczeń sportowych. Najpiękniejszy jedwab, owinięty na ciele miękkim i przelewającym się, na krzywych biodrach i nierównych łopatkach daje efekt jaknajgorszy. A zresztą my na to nie mamy. I dlatego z modą jedwabną trzeba stanąć do walki w imię najżywoźniejszych interesów Państwa i rodzin naszych i nas samych. My uczciwie zapracować na jedwabie nie możemy.

Poza sferą strojów, do których wlicza się i perfumy, i szminki, i kosztowne łuciki, i cały ten niewyliczalny aparat kobiecego zdobienia własnej postaci, rozciągają się dalsze dziedziny życia i użycia, których poziomowi nie obniżono u nas po wojnie.

Weźmy dwory wiejskie.

Właścicielkę niewielkiego obszaru ziemi zaliczam do kobiet pracujących. Praca jej bywa nawet bardzo ciężka, cięższa niż inteligentki miejskiej.

Czyż zmieniła ona cokolwiek w codziennym trybie i obyczaju swego domu?!

Piszą do nas z Kujaw: „We dworze, gdzie rodzina cała składa się z dwóch osób, mamy lokaja,

pokojówkę, kucharza, gospodynię, pomocnicę pani (do szycia i naprawiania bielizny) i stangreta. W domu codziennie bywają goście. Przyjechawszy koło południa, wyjeżdżają koło północy, albo zostają na noc. Zabawą jest gra w karty.

A co robią chłopci — pytacie. Chłopci, gdy już skończą się prace gospodarskie — tańczą. I jedyny interes, jaki mają do dworu, to nie żądanie oświaty, książki, gazety — nie — żądają tylko sali do tańca w dworskim budynku. Dwór ten zalega 2 tysiące złotych w opłacie podatków“.

Jakież to wymowne!

Naród, gdzie szlachta gra w karty całymi dniami, a chłopci piją i tańczą, nie może płacić podatków. To jasne.

I czyż nie anachronizmem jest ta sfera służby, i te odwiedziny codzienne?

Powiecie, gdy oddałę służbę, zostaną ludzie bez pracy i dachu. Ach nie!

Twórzcie, panie, warsztaty pracy. Zakładajcie młeczarnie, hodowle jedwabników, suszarnie owoców, kilimkarnie i t. p. Zdobędziecie dochód na podatki dla Skarbu i dacie zarobek ludziom.

A cóż przyjdzie komu z bezmyślnego zabijania czasu? Z innych stron, z Kresów Wschodnich mam list innego rodzaju.

„Mieszkamy tuż obok stacji kolejowej. Pociągi zatrzymują się tu dwa razy na dobę. Kto z sąsiadów nie zdąży na pociąg, lub na pociąg ranny nie chce z powodu złych dróg jechać nocą, ten do nas przyjeżdża na nocleg. Istny dom zajezdny! Tylko, że dom zajezdny ciągnie zyski z podróży, a my dopłacamy do ich podróży ogrzewaniem pokoi gościnnych, praniem bielizny, i przyjęciami, bo przecież na wsi niepodobna nie poczęstować gościa“.

Czyż nie obrazek z XVIII wieku?

Korespondentka zapomniała dodać, że dopłaca jeszcze stratą czasu... No, ale u nas czasu się nie ceni... Ten obyczaj cały trzeba przetworzyć, trzeba go z gruntu zmienić.. trzeba nareszcie wkroczyć w wiek XX i z jego wymaganiami zacząć się liczyć na serjo.

O! Święta! Piękna rzecz, tradycja!

Ale z tradycji, na miły Bóg, przecież nie jedzenie i picie jest rzeczą najważniejszą! Minęły już Święta.

Policzmy, panie gospodynie wiejskie i miejskie, ile na nich można było oszczędzić, a nie oszczędzono. Ile z nas porobiło długów, byle tylko dociągnąć do tej skali wymagań, jaka nam się wydaje konieczna...

Nie jest konieczna! Przełammy raz w sobie nałogowy tryb myślenia, a pozbedziemy się, nie mówiąc już o rzeczach ważniejszych i najważniejszych, pozbedziemy się osobiście tysiąca kłopotów.

Obniżyć, obniżyć jaknajprędzej stopę życia, w mieście i na wsi, we dworze i w chacie, zarówno w mieszkaniu inteligenta, jak w mieszkaniu robotnika. Obniżyć!

O, gdybyśmy mogli umiłować prostotę, wstrzeźliwość i uciechy duchowe wyższego rzędu, o ileż łatwiejsze byłoby życie! Zaczynamy rok nowy.

Spróbujmy w tym roku nie pod presją konieczności, a z dobrej i nieprzymuszonej woli, jako skutek rozumowania, spróbujmy wyrugować z domów naszych zbytek, choćby pod jedną jakąś postacią np. jedwabiu, lub alkoholu!

A alkoholu „biedny“ nasz naród spożywa rocznie za miliard złotych...

Ten smutny akord niech będzie finałem uwag, które do rozważenia ośmieliłam się Wam przedstawić.

Helena Ceysingerówna.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

DUCHOWA ANDROGYNE

1



umując w pamięci dodatnie i ujemne rysy kobiecości, nie trudno zauważyć, że jest ona doskonałym, wielowiekowym przystosowaniem się do warunków bytu. Królowa domu posiadała te cnoty, które najświetniej jarzą się w przybytku, zamkniętym czterema ścianami — wady zaś i braki, z cnotami temi skoordynowane, nie zazębiając się o żadną potrzebę domowego życia, nie wchodziły nikomu w drogę — nikt nam też ich nie wypominał.

Taką była kobieta domatorka — *casalinga*, jak ją nazywają włosi.

Kobieta wyrobiła w sobie posuniętą do mistrzostwa umiejętność obchodzenia się z człowiekiem ukochanym. Życ z obcymi nie przyzwyczało ją zamknięte życie — obcy, jak w dziecku, budził lęk i nieufność. Niechęć do obcej kobiety, zwłaszcza tej, co się w jej domu osiedla, może w niej zaszczepiły te wieki odległe barbarzyństwa, kiedy każda kobieta przestępująca jej progi, była to rywalka zwycięzcy, którą, jako nową żonę, wprowadzał do domu pan i mąż.

Odkąd zaczęliśmy emigrować z ciasnego naszego królestwa coraz tłuńniej i coraz zupełnie na szeroki świat, cnoty nasze zaczęły gasnąć tam, w tych wielkich otwartych przestrzeniach — a wady uwypukliły się i nabrały koloru.

Braki nasze dały się odczuć i nam, i drugim. Dlatego to zamiast staroświeckiego ubóstwienia, kobieta coraz częściej spotyka się z niezbytliwą krytyką. Występuje *gynofobia*: Weininger i Nietzsche. Charakter męczyzny wydaje się dziś lepszym, niż kobiecy, bo męczyzna obraca się wciąż na tym samym terenie, do którego przystosował się odwiecznie, a na którym kobieta znalazłszy się, jest nie u siebie.

Stopy nasze przywykłe deptać wązkie ścieżki ogródka i deski wygładzone, potykają się o bruki i schody, wywołując uwagi szydercze, żeśmy się za daleko odbili od domu.

Zrozumieliśmy, że nie można stanąć do współzawodnictwa z męczyzną, pozostając dawną „Manią“, „Zosią“ i „Helcią“, którą służąca odprawiała na pensję.

Pierwsze pokolenie tak zwanych *emancypantek* zaczęło gwałtownie naśladować męczyznę, głównie być może z cech zewnętrznych.

Pierwsze studentki obcinały włosy, nosiły bluzę roboczą ze skórzanym paskiem — przejęły męski chód o wielkim kroku, z wymachiwaniem rękami — palenie papierosów i dezynwolturę obejścia.

Następne pokolenie studentek oceniło już monstualną niedorzeczność wyzbywania się urody i wdzięku. Dzisiejsza studentka strojna i u fryzowana jest zwyczajną elegantką, która chce czarować. Ale naśladowanie męczyzny poszło w głąb. Kobieta przejęła się do szpiku kości jego pozytywizmem, stała się fanatyczną dewotką postępu, aby jej, broń Boże, nie posądzono o taki nadmiar uczucia i wyobraźni, którego wykładnikiem jest religijność! Wyrobiła w sobie twardość, oschłość i dzi-

ką energję. I jak każdy neofita przesadziła w tem wszystkim grubo!

Starła się tak morderczo trzeźwą, logiczną, twardą, oschłą, jak nigdy znów nie bywa męczyzna! Świat widokiem tym przerażony zawołał: „Powróćcie nam kobietę wczorajszą“. Męczyźni lamentują: „Chcemy w kobiecie kobiecości!“.

Och, ta kobiecość — ta kobiecość! jakże męczyźnie było z nią dobrze! Formę jej on sam wymodelował tak, aby zadawalała wszystkie jego potrzeby, aby mu była najwygodniejszą i najprzyjemniejszą. Dał jej do ręki malutki, skrócony katechizm, w którym on jest bogiem, to jest cnota, co dogadza jego interesom — to występkim, co się im sprzeciwie. — Reszta: „rób co chcesz — to już nie ma żadnego znaczenia — jaką będziesz dla całej reszty świata nie jest ani złem, ani dobrem“.

Wielki kobieta przetrwała w tym Zakonie. Była cudowną matką i cudowną żoną — naprawdę niedobra zdarzała się wyjątkowo. Męczyznę otaczała cała hierarchia służebnic, przez które był wypielegnowany, wychuchany i obsłużony. Krzywił się czasem, poczuwszy na karku pazury teściowej, ale... wiedział on dobrze za co... Teściowa bywa złą dla zięcia tylko wtedy, gdy zięć jest złym dla jej córki... Jęczał niekiedy, wzięty w dwa młyńskie kamienie, pomiędzy matką swoją, a żonę swoją, które się nienawidziły, choć były dla niego aniołami. Ale i ten zatarg ścierało kilka lat pożycia, sprowadzając spokój. — Męczyzna posiadał skarb w kobietach, które mu bardzo dzielnie żyć pomagały.

Nie dziw, że chciałby typ dawnej kobiety zatrzymać. Mnożyłam do nieskończoności zdjęcia z jego kodaka: sceny, typy, rozmowy i historie, sieją je obficie po drodze moich feljetonów, aby odsłonić zakulisy Świata kobiecego, aby pokazać odwrotną stronę tej kobiecości, tyle sławionej, tyle opiewanej! — Jest ona piękna i dobra, ale tylko na tle tego życia, które ją urobiło przez wieki: w domu, w rodzinie i w przeszłości.

Nie, nie będziemy pielęgnować jej w sobie... jeszcze dlatego i przedewszystkiem dlatego, że życie dzisiejsze zachować jej nie chce — i nie może!

Czy to znaczy, że będziemy naśladować męczyznę. — Nie! nie będziemy naśladować męczyzny, wirylizować się także nie będziemy. Wszelkie naśladowanie jest tworem martwym, po którym znać, że powstał sztucznie, że mu brak, tego wielkiego, życiodajnego wstrząsu, w którym poczynają się dzieła żywe. — Cóż więc ma począć kobieta dzisiejsza? — To, co roślina, gdy ogrodnik odchyli nad nią szklany dach cieplarni, gdy ją dotknie słońce, deszcz i wiatr wiosenny, a soki świeżo z ziemi wessane zaczną obiegać po żyłach. Roślina poddaje się temu procesowi, który wydobywa skryte w niej potencje: liście, kwiaty i owoce, barwy i zapachy.

Zamiast tej kobiecości prymitywnej, która w nas stopniowo zamiera, do której napróżno nawoływać, napróżno nas zawracać. „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia“.

Ewolucja rozwinie w nas nową, wyższego porządku kobiecość.

(c. d. n.)

Nieobecność

Twoja nieobecność jest jak tłumy ludzi —
Wszędzie jej pełno. W ogrodzie i w mieście.
Wciąż mnie otacza. A gdy zasnę wreszcie
Tuszącem oczu patrzących mnie budzi...

O jak krótki jest czas nasz

O, jak krótki jest czas nasz na ziemi!
Jak mało poranków żywych!
Jak mało chwil spędzonych z myślami własnymi
w parkach naiwnych i zielono-siwych!

Jak mało niespodzianek na świecie!
Jak rzadka jest radość nieznaną
zobaczenia po raz pierwszy Wenecji,
lub usłyszenia Tristana!

Nie móc krzyknąć płynącej fali!
Nie niszczyć mnie, to się nie godzi.
Nikt nie będzie mógł kochać doskonalej,
ani uściskać słodziej!

Inni ci nie powiedzą nic, czego przed nimi
nie myślałam już co do słowa!
Żadna z ich pieśni o słońcu czy ziemi
nie będzie nowa!

Nikt już tak ze snem swoim pieścić się nie będzie
skrzydlatym, gwałtownym, słodkim,
jak ja podobna Ledzie w uścisku z łabędziem
w puch utulona i w srebrne lotki!

— Tak, zginiesz, serce z cienia i z iskier tysięcy,
będziesz trawą lub wodą w strumyku —
I ci co cię kochali nie usłyszą więcej
Twojego głośnego krzyku...

Wieczór na tarasie

Jesteśmy sami. Trzeba się z tem liczyć,
że mnie kochasz. Boję się ciebie.
Unikajmy ostatecznej słodyczy:
wspólnego milczenia, jak w niebie...

Ten taras jest jak łódź płynąca:
ach, jak duszno na morzu w tej chwili.
Fala wzbiera pod światłem miesiąca:
czekamy aż się łódź przechyli...

Tu aloes wznosi kwiaty w ciemni —
Tam pachnący różą księżyc kapie z dachu —
Jeśli możesz — ach odstęp odemnie!
Jeśli możesz — rozsuń gąszcz zapachów —

Ktoś się śmieje gdzieś, w głębi ulicy,
a tyś zaraz pomyślał — co — niewiem —
że ktoś kogoś w objęcia pochwycił...
— Wszystko dziś jest dla ciebie zarzewiem...

Gorzko pachnie słona sieć rybacka...
Wiatr powiewa poszumami fali...
— O, pochwyc mnie w objęcia zniecka
abym mogła żyć dalej!



MARJA KUNCEWICZOWA

JEDNO SPOJRZENIE

(Powieść)



Henryk był moim kuzynem. I chowaliśmy się w jednym mieście; więcej — na jednej ulicy. A zatem żadna hańba jego dziecinnego żywota nie pozostała przede mną w ukryciu. Wiedziałam, że dopiero we freblówce oduczyl się ssać palec. Nałóg ten stanowił przedmiot smakowitych rozpraw między mną, a starszym bratem Adamem. Kiedy po tęgi domowe przygnębiły nas mnogością zakazów, że dom zdawał się obręczą najeżoną kolcami, i człowiek dreptał w kółko na skraweczku swobody, czyniąc gości bagatelne — dozwolone, lecz odarte z wdzięku — w takich momentach źródłem satysfakcji były zbrodnie Henryka. Pewnego razu wuj Antoni — splendor i fortuna rodziny — spytał Henia, czy ten wolałby zostać obywatelem, czy fabrykantem; a najmilszy Henryczek, mimo spojrzeń matki, błagających o odpowiedź brzemienną w sukcesy, włożył palec do ust i z tłumikiem wygłosił: „Będę stróżem, bo on ciągle lata po dworze.“ Oczywiście otchłań niestosowności, zawarta w oświadczeniu, nie przeraziła naszych oczu; za to karmił dziecinna „schadenfreude“ fakt, że Henryk później dostał w skórę.

Za czasów szkolnych spotykałam Henryka na wieczorkach. Był przystojny, uśmiechał się cierpko i tańczył, patrząc w jeden punkt nad ramieniem towarzyszki. Kochały się w nim moje koleżanki. Podobno mądrze rozmawiał i szydził z miłości. (Do mnie żywił wytworną niechęć — uczucie iście kuzynowskie). Nieraz słyszałam na lekcji szept, opiewający urodę czarnego kosmyka; ofiarowywano się nawet „wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć“. Że jednak słyszałam również, jak ciotka krzyczała na Henryka „smarkaczu“, a on pokornie wywabiał płamę na niezwalczonym smokingu — sphywał czar bez śladu po pióralch wyobraźni. Trudno wielbić krewnego chłopaka, co przez kilkanaście lat mieszka o dwa domy.

Byłyśmy z matką w Paryżu, kiedy przysłała wiadomość, że w lutym Henryk się zaręczył.

Zdradziecka to była nowina. Na pierwsze dotknięcie — nic; chłodna i okrągła, jak jabłko. Henryk się zaręczył, zaręczył się Henryk. Mało treści. Znaczący: któregoś wieczora przestał patrzeć w „jeden punkt“, a spojrzął w oczy tancerki. Miłość. Może i nie. Prostu zachciało się chodzić do Łazienek pod rękę z ładną panną. „Czy mogę prosić o rękę panny Krystyny?“ — „Ależ, panie, Krysia jest tak młoda.“ — „To nic, ja ją uszczęśliwię.“ — „Ha, dziej się wola Nieba.“ — I skończone. Z czasem, naturalnie, wypadnie ślub. Jeżeli latem, pokroczę w orszaku, reprezentując Paryż. Może dadzą szampana...

A jednak... Chłodne jabłko, ogarnięte dłonią dziewczyny, zakurzyło się wońmi rajskiego ogrodu. Pierwszy raz tuzinkowa twarz miłości spojrziała na mnie oczami geniusza. Z niektórych zjawisk aż nadto pospolitych spadły raptem słowa, niby wieka pudełek, i ukazywało się ich wnętrze żywe, ciepłe, jak krew. Zaczynałam nareszcie nie tylko rozumieć sens filologiczny wyrazu „kochać“, ale — za nieuchwytną przyczyną — zobaczyłam nagle różowe powietrze,

w jakim pławi się i błyszczy ten fenomen. Kiedy teraz mówiłam „narzeczona“ — zapach wysnuwał się z pojęcia, które dotąd znaczyło tylko: trzeba szykować wyprawę. Zupełnie nowi ludzie i nowe sytuacje skoczyły do oczu. Zdarzyło mi się w tych czasach zabrać w nieznaną dzielnicę, idąc w tropy za parą studencką, która od wyjścia z Geneviève'y nie przestawała szeptać sobie komicznych czułości. Nurkowałam wytrwale śladem ich obcasów — zaciętrzewiona, niedołączna i drżąca, jak wyżeł zbyt jeszcze młody na polowanie. Nie wiem, jak długo trwałaby pogoń, gdyby nie to, że na którymś rogu chłopak obejrzał się i puścił „au petit bonheur“ zabójcze oko w głąb ulicy. Oko w rozpędzie nadziało także i moją postać. Stałam wtedy podcięta i szybko zabrałam się do odwrotu. Nazajutrz w Luvrze zawstydziły mnie białe źrenice Venus.

Wogóle świat oblekł się wstydlivością, rzekłbyś ciałem, i niewiadomo już było, gdzie podziak myśli, jak wyminąć spojrzeniem to, o co najbardziej prosiły oczy, jak nazwać rzeczy, które najcieplej przypadły sercu. Z dnia na dzień, a właściwie w wgnieniu oka, odwróciły się wszystkie zdarzenia do góry dnem. Co jeszcze godzinę temu wyglądało jedynie warte trudu — nagle zbladło na opłatek, znikczemniało do cna. Zaś na miejscu porażki dawnych dni zapieniły się fale objawienia. I wszystko dlatego, że Henryk miał się żenić z jakąś Krystyną.

Henryk — wiadomo — pretensjonalny samolub; sławna Krystyna z pewnością przez pół życia wyginała przed lustrem nóżkę po sarniemu i uśmiechała się zawsze nie na temat. Jednak byli zaręczeni. Zatem — kochali się może. Wniosek oczywisty: że miłość biegała po ulicach wszystkich miast i nie szczędziła nawet kuzynów. Bliskość, powszedniość tej sprawy uderzyła mnie palącym grotem. Bowiem dotąd kochali się Winicjusz z Ligią, Nienaski z Xenią, renesansowe księżniczki z kondotjerami, Pola Negri, starzy bon-vivant'ci w Warszawie, kiedyś, kiedyś kochali się rodzice, no i „konały“ pensjonarki — ale wszystko to albo na niby, albo gdzieś w niedocieczonych krajach. A teraz miłość, jak osoba, weszła wprost do domu i prawie całowała w usta. Żar bił od tej obecności i odbierał chęć do pracy.

Utonęłam w lenistwie. Na powierzchnię rozruchu wypłynęła zachcianka: koniecznie poznać oblubienicę. Znalazły się argumenty, dlaczego colloquia należy zdawać raczej na jesieni — matka skwapliwie opróżniła szafy. Do Koła Chemików poszłam ostatni raz na referat o prof. Marchlewskim i, bez jakichkolwiek wysiłków inteligencji, z miejsca stwierdziłam, że prelegent ma oczy człowieka, który kocha szczęśliwie. Nie mieszając się do dyskusji, w skupieniu obdzierałam naszego maga — jak witkę wierzbową z liści — z gestów i intonacji niezdatnych do użytku w zachodach miłości. Zdania, nadziane wiedzą, odsłaniały do ostatniego dzwona kręgosłup miłosny docenta. Dlatego nie zdziwiłam się wcale w dziesięć lat później, kiedy mi powiedziano, że Jacek zrobił karierę przez kobiety, gdyż był w amorach „szalony z metodą“. W przeddzień pierwszego wyjazdu z Paryża przejrzałam (w świetnym blasku natchnienia) wszelkie zawilosci młodego chemika.

W drodze do kraju po raz pierwszy zobaczyłam w lusterku nad kanapą II-giej klasy własną twarz obcemi oczami. Podróżni panowie robili na mnie męczące wrażenie — był to nowy sposób odczuwania świata. Mysł, zamiast pędzić z metalicznym dźwiękiem po drutach od telegrafu, albo zaglądać, jak mucha niefrasobliwie, w oczy i usta ludzi, wgrzała się na sposób kleszcza pod skórę cudzą i własną. Ciągły stąd płynął niepokój, ciągnęła gorączka wzroku. W Strassburgu wsiadł grubawy blondyn. Zarzucił na siatkę neser gestem championa lekkiej wagi, długo drapował na haku i muskał palto, wreszcie podciągnął spodnie, usiadł i władczy wzrokiem objął przedział w posiadanie. Od tej chwili podróż stała się dla mnie torturą. Konieczność patrzenia na czerstwe policzki jegomościa i równie paląca konieczność niewidzenia wcale jego osoby spłotły węzeł, który mnie dusił fatalnie osiem godzin. Wkładałam i zdejmowałam beret, na każdej stacji niemal sprzedawano mi coś niejadalnego w bufecie, a z „Jean Christoph'em“ w bawolej oprawie działał szerszeń, na jakie nie zasłużył. Prawdziwym żądłem sytuacji było zdziwienie matki. Patrzyła na mnie zatroskana i dręczyła pytaniami. Wyczerpawszy podręczny zapas dobroci, westchnęła wreszcie: „Jesteś przepracowana...“ Odprężyłam się nieco. W tej samej minucie blondyn rozłożył na mojej postaci spojrzenie ciężkie, błękitne, niby skrzydło ze stali. Drgnęłam, robiąc miny nieswoje i trzępiąc groźnie brwiami. Z czasem poznałam wielu grubawych

blondynów i wiem, że przy kalkulowaniu oferty na flirt lubią przygwoździć oczami do ściany jakąś twarz różową, albo tylko bezbronną. Konturów tej twarzy nie pamiętają już przy następnej ofercie. Wtedy jednak zdarzenie przerastało siły Krew ciężkimi falami tłukła się od serca do mózgu, nogi ścierpły, bo nie śmiałam poruszyć kolan, „nicht hinauslehnen“ i „défense de fumer“ orały w myślach bezustanku smugę bolesną, jak ślad po harapie. Udało mi się wreszcie zamrozić twarz w masce. Ledwie sfolgowało napięcie, ryżny elegant wyszedł z trzaskiem, zabrawszy walizę i palto. Odsuwając drzwiczki, palnął mnie w łokieć kufierkiem i bąknął przed siebie: „Verzeihung“. W przedziale został zapach wytwornej golarni.

W Warszawie wkrótce poznałam Krystynę. Była oczywiście inna, jak myślałam. Nogi stawiała raczej po pańsku, niż po sarniemu; uśmiechała się rzadko, nie dla ozdobienia rozmowy, chyba z potrzeby serca. Od pierwszego słowa brała ton głęboki; każdy wyraz z jej ust wybiegał ciepły, puszysty jakby i ciemny. Mimo mezzo-sopranowy, namiętny kolor, jaki ją otaczał, trzymała wszystkich na odległość. Nigdy — zdawało się — nie wypowie tego zdania, któreby mogło stosunek zbarwić bliskością. Nawet Henryk przed nią celebrował. Spotkałyśmy się u jego matki. Krystyna potraktowała mnie bardzo miło, troszeczkę z uwagą, sposobem starszej damy. Polubiłam ją, zrezygnowałam z wszelkiej niechęci. (e. d. n.)



S I G R I D U N D S E T

D Z I E C K O

(nowela)



Pastor Seljedal otworzył okno. Było parno, bo służąca napaliła w piecu za mocno. W kącie obok komina wpełzła od gorąca błękitna tapeta. Z okien biura pastora widać było cmentarz. Z tchnieniem wiatru nadlatywało stamtąd echo pieśni, śpiewanej przez ludzi, zromadzonych dokoła otwartego grobu. Były to męskie głosy. Seljedal poprzez drzewa różnił kondukt pogrzebowy, który był podobny do czarnej plamy na śniegu. Był to pierwszy śnieg w tym roku, topniejący i szary. Od czasu do czasu spadały pojedyncze płatki i topniały natychmiast w czarnym błocie ulicy. Powietrze prześwieślało się zlekka za drzewami cmentarza, stawało się niemal żółte, a ciężkie chmury zwisały, jak otów.

Pastor przyglądał się wielkim, ponurym domom robotniczym, o szarych murach, podziurawionych czarnymi kwadratami okien. Jedno z tych okien było oknem jego pokoju, a w nim znajdowała się żona jego Bergljot ze swym niemowlęciem... Jakże smutny musiał być dla niej widok tego cmentarza! Dzisiaj znajdowała się w głębi pokój, może nie dochodziło do niej echo żałobnych pieśni, ale słyszała je tak często! Cóż to była za okropna jesień, gdy jej trzy córeczki miały odrę, a ona, czując się tak źle, mu-

siała je pielęgnować w chorobie. Nie można się było dziwić, że Bergljot czuła się zawsze nieswojo w tem mieszkaniu. I jemu też zupełnie nie dogadzało miasto.

Przybyli tu pełni najlepszych nadziei. Przecież zrobił chyba na południu wszystko, co było w jego mocy — i Bóg świadkiem, starał się zrobić jaknajlepiej, ale, według jego zdania, praca była bezowocna. Roilo się tam wprost od sekt religijnych. Popierał je jeden z jego kolegów, zadając się ze świecącymi pastorami, przybyłymi z miast i solidaryzując się z tak zw. „sektą zieloną“, która odprawiała nabożeństwa w starym, opuszczonym kościele i w ruinach kapliczki.

Och, nie był to bynajmniej podatny teren do jego nauki. Dla niego religia chrześcijańska była jak światło i ciepło dla ojczyznej ziemi. Na ogniska rodzinne według niego sphywała łaska boża, ale o tyle tylko, o ile obserwowały kult przodków i tradycję rodzinnych.

Przyszedł z zamiarem walki do miasta, gdzie ludzie są niewolnikami przemysłu i kapitału, gdzie dobra ziemia ukryta jest pod zimnym kamieniem i asfaltem, gdzie słońce i czyste powietrze nie ma dostępu. Wydawało mu się, że poznał miasto, a on je odrazu znienawidził, gdy się przekonał, że go nie

Autorka niniejszej noweli otrzymała w roku ubiegłym nagrodę im. Nobla za dzieło literackie.

Hjoerdis złożone ręce oparła na stole, pochylała głowę i rozpłakała się. Pastor, nie przestając się uśmiechać, zadawał jej pytania:

— Jak to się stało, moja mała Hjoerdis? Opowiedz mi, jaki to był ten twój grzech przeciwko Duchowi Świętemu? Czyś wymówiła jakieś brzydkie wyrazy? Czyś bluźniła? No, dlaczego mi nie odpowiadasz?

— Ochrzciliam kogoś, — odpowiedziała wreszcie wśród łkań!

— Ochrzciliś kogoś? Ach! więc z sakramentu chrztu uczyniłaś sobie zabawkę?

Hjoerdis nie zaprzeczyła.

— To bardzo brzydko z twojej strony, ale może nie zdawałaś sobie z tego sprawy? Może nie uczyniłaś tego w tym celu, aby popełnić bluźnierstwo?

Potrząsnęła głową przecząco.

— Mów, kogoś ochrciła? Twoją lalkę? Nie, a więc kotka, albo może pieska?

— Mego braciszka.

— Twego braciszka? A zatem bawiliście się, no, a potem?

— Nie, wcale tak nie było. Sądziłam, że umrze, zanim będzie ochrczony. Był bardzo chory, ale lekarz powiedział: „Niema niebezpieczeństwa, mogą państwo poczekać z chrztem, aż ciotka przyjedzie z Ameryki.“ Bo ciotka miała być jego chrzestną matką. Więc czekaliśmy przeszło rok, a on przez cały ten czas ciężko chorował. Mówiono ciągle: „To nic, to przejdzie“. A gdy prosiłam, aby go zaraz ochrcić, mamusia nazywała mnie „głuptaskiem“. A ja się tak bałam, że umrze i pójdzie do piekła. Któregoś dnia, gdy zostałam sama, aby nad nim czuwać, bo wszyscy wyszli z domu, a on płakał i jęczał przez całą noc, i był taki bledziutki i taki drżący, a oczy miał jakieś dziwne, poszłam do kuchni, wzięłam kubek z wodą i ochrciłam go, czytając na głos z katechizmu...

Wyczerpana swoją spowiedzią, pochylała się nad stołem, płacząc z cicha, bliską zemdenia z nadmiaru wzruszeń.

— Biedactwo, jakże mogłaś przypuszczać, że popełniłaś aż tak wielki grzech? Ot, poprostu kochałaś swego braciszka, chciałaś go uratować od piekła, i rzuciłaś go w objęcia Chrystusa...

Lars Seljedal wstał i położył rękę na schyłonych plecach dziewczynki.

— Wierzaj mi, drogie dziecko, żeś nie popełniła grzechu...

— Może być, ale się do tego w domu nie przyznałam i gdy przyjechała ciotka, brat został ochrczony po raz drugi. Zwierzyłam się z tego koleżance, a ona mi na to powiedziała: „Zgrzeszyłaś przeciwko Duchowi Świętemu, bo ochrcić mogą tylko ci, co już przystępowali do komunji“. A przytem na drugim chrzcie dano mu inne imię; mamusia mi powiedziała, że będzie się nazywał Rolf, a został ochrczony jako Alfred Eniar. Moja koleżanka utrzymuje, że to wielki grzech, być ochrczonym w kościele, jak się już było ochrczonym w domu.

— Uspokój się, drogie dziecko, uspokój się...

I pastor, zbliżywszy się do dziewczynki, ujął jej rękę:

— Spójrz mi w oczy, maleńka. Nie bój się, — postąpiłaś tak, jak postąpić powinna kochająca sio-

strzyczka i dobra chrześcijanka. Oczywiście, lepiej było, gdybyś wyznała wszystko swoim rodzicom, ale brat twój powinien być powtórnie ochrczony, bo ty jesteś jeszcze dzieckiem. To coś zrobiła nie jest grzechem...

I gładził rękę dziewczynki. Powoli uspakajała się, choć jeszcze łkanie raz po raz podnosiło jej piersi. I nagle usta jej zaczęły drżeć!

— Więc to nie było takie straszne, te nowe imiona, które otrzymał mój brat na drugim chrzcie?

— Nie. Pan Bóg zna dobrze imiona wszystkich swoich dzieci, — odpowiedział — z roztargnieniem pastor.

I zamyślił się o czem innym.

Myślał o rodzinie Hjoerdis... Istotnie, codzień dzieci mogły się najeść do syta, ubrane były schludnie i były chlubą rodziców. A jednak zbywało nieraz na rzeczach najpotrzebniejszych, ubrania noszone były do ostatka, i nigdy w rodzinie nie było dobro bytu, ani szczęścia, tylko praca, ciągle praca, od rana do wieczora.

Nie zauważył tego do tej pory. Znał grzeszników i bogaczy, a byli to dla niego ludzie miast. Nie znał zaś ludzi pracy, nie znał tych, którzy są ludem, szarą armją mężczyzn i kobiet, walczących odważnie o swe gniazda i o swe dzieci, aż do śmierci. Tych, którzy nie wysuwają się z szeregu, aby stać się parjasami, tych, którzy nigdy nie zarabiają dostatecznie na to, aby przestać być niewolnikami, i dzieci ich, tak do nich podobnych: szarej, biednej Hjoerdis i jej rodzeństwa nigdy przedtem nie zauważył...

— Jak długo ukrywałaś w sobie swój grzech? zapytał nagle pastor.

Spojrzała na niego, nie dobrze rozumiejąc pytania.

— Czy stało się to dawno?

— W drugim roku szkoły...

A więc przeszło pięć lat! Spowiedź dziecka uświadomiła pastora, uczyniła go ludzkim i przenikliwym. Zdawał sobie z tego sprawę, że takich pięć lat, to okres czasu, w którym dojrzewa serce, a dusza podlega najsilniejszym i najgłębszym wrażeniom.

— Niech Bóg czuwa nad tobą i niech łaska boska spłynie na ciebie, mała Hjoerdis. Pan Bóg cię otoczy miłością, boś cierpiała za swego braciszka.

— A więc mój chrzest nie miałby żadnego znaczenia, jeśliby umarł przed drugim chrztem? — zapytała cichutko. Nie był naprawdę do niczego potrzebny.

— Ależ tak, moje dziecko. Wszystko to, co czynimy z miłości, jest zawsze do czegoś potrzebne... Czy widzisz Hjoerdis cudne promienie słońca nad cmentarzem?

— O tak, jak tam jest ślicznie!

I uśmiechnęła się.

— Nie będziesz już płakać, ani lękać się?

Dziecko roześmiało się, ale wargi drżały mu z lekka.

— O, dziękuję, — powiedziało, ocierając wilgotne oczy. Cieszę się, że mogłam mówić z panem pastorem, — dodała. A w głosie jej drżały jeszcze łzy.

— I ja się cieszę, że mogłam z tobą mówić, mała Hjoerdis, — powiedział Lars Seljedal.

Ale ona nie zrozumiała, dlaczego tak powiedział.

Przekład Z. R.



T A D E U S Z Z I E L I Ń S K I

Z Ł O T Y W I E K

I.

W tych dniach wszędzie, gdzie to tylko jest możliwe, stoją w domach obywatele choinki gwiazdkowe, płoną ognie Bożego Narodzenia. Światło ich złotym blaskiem rozlewa się po ciemnych gałęziach drzewka, przenika złotą mgłą do skromnych jego zakątków, gdzie, ukryte zręczną ręką, rumiane jabłuszka i złote pomarańcze kusząco połyskują z pod zielonego cienia; oto przełamuje się, perląc się złoście, w szlifowanym kryształach przezroczystych cacek, odbija się złotymi iskrami w czarodziejskich niciach świetlistego „deszczu“ i w radośnie rozśmianych oczach dzieci. Tam, na dworze, zimny wiatr rzuca w twarz przechodniom mroźne igły twardego, kłującego śniegu; lecz tu, pod ozdoba choinki, panuje złote królestwo Nam, dorosłym, dokuczliwe myśli zatruwają spokój świąteczny; lecz tu, w tych główkach dzieciennych, panuje niepodzielnie złoty wiek.

Przyjemnie jest, otrząsnąwszy się z dokuczliwych myśli, patrzeć na tę grę złotych ogni, błędzić wzrokiem po jednej z tych iskrzących się nici z gałązki na gałązkę, aż do miejsca, gdzie się gubi w zielonym półmroku; przyjemnie jest również, ogarnąć w całości ów złoty sen cierpiącego rodu ludzkiego, zbadać jego losy od pokolenia do pokolenia, aż do chwili, gdzie nic jego gubi się w głębi wieków. Nie będzie to bynajmniej zajęcie niepoważne; jeśli chodzi o uczonego termin, — możemy nazwać jego przedmiot „flogenią iluzji“. Lecz na ten raz zostawmy lepiej uczoneść w spokoju — ani mnie, ani wam, czytelnicy, ona teraz nie w głowie, lepiej niech mi będzie wolno poprostu, ze względu na czas świąteczny, opowiedzieć wam czarodziejską baśń o złotym wieku.

II.

Było to bardzo dawno. O chrześcijaństwie, którego Założyciela czi to nasze święto, jeszcze się nikomu nie śniło; Jowisza Kapitolińskiego, jak się zdaje, także jeszcze nie było, a jeżeli nawet był, to mało kto zwracał na niego uwagę. Ludzkość myśląca miała swe siedziby w zawiłanym labiryncie wysepki i wybrzeży, okalających błękitne — wówczas jeszcze dosyć groźne — morze Egejskie; tam synowie Ziemi pracowali i walczyli, myśleli i marzyli pod wszystkowiedzącym okiem Zeusa Olimpijskiego. Nie można powiedzieć, żeby ludzie byli szczególnie zadowoleni z jego panowania. Wprawdzie zasługa jego była bardzo wielka: „on“ — według słów późniejszego poety — „poprowadził ludzkość po drodze świadomości, on nadał znaczenie słowom: ucz się przez cierpienie“; ale inaczej sądził tę zasługę poeta mędrzec, patrzący na życie zgóry, inaczej zaś biedny pracownik, z bogaczącym się własnym cierpieniem skarbnicę nauki ludzkiej. Z zawiścią patrzył on na leśne zwierzę, na ptaka niebieskiego: one nie orzą i nie sieją, a jednak dla każdego z nich troskliwość matki Ziemi przygotowała pokarm i schronienie; czem więc myśmy rozgniewali swą rodzicielkę? A może rozgniewał ją nasz wódz i bóg Zeus Olimpijski?... I oto otwiera się szerokie pole dla fantazji: dobre zapewne były to czasy, kiedy Zeusa jeszcze nie było, a światem rządził jego ojciec, Kronos (to. zn. Sa-

turn) i wtedy nie znano jeszcze testamentu: ucz się przez cierpienie, wszelką wiedzę otrzymano darmo:

Żyli jakgdyby bogowie, nie znając w sercu umartwień¹⁾
Wolni od trudów i smutków, a starożytność nie niosła im w darze
Przykrej niemocy, lecz zawsze ich ręce i nogi zarówno
Siłą Mitrwy młodzieńczą, i żadnej nie znali choroby.
Lecz umierali jak snem zwyciężeni; a dobra wszelkiego
Mieli w dostatku, dawała im plon rodzicielka ich ziemia
Z własnej swej woli, obficie i hojnie, a oni w weselu
Życie pędzili spokojne, szczęścia doznając bez granic.

Taki był „złoty wiek“; — tak go też nazywa starożytny poeta Hezjod, od którego zaczerpnęliśmy przytoczone wiersze.

III.

Lecz te wiersze dają nam tylko zewnętrzne kontury obrazu; domalowanie szczegółów pozostawiono czasom późniejszym, kiedy promienie poezji i oświecenia, wychodzące z różnych ognisk kultury greckiej, skoncentrowały się w Atenach. I jakie to było malowanie! Taka dziwna mieszanina elementów idealnych i materialnych, poważnych i komicznych! Wzrok nasz gubi się w tych dziwnych arabeskach, jesteśmy gotowi uznać cały rysunek za kaprys dziecka, lub płód chorej wyobraźni szaleńca — gdy nagle spostrzegamy, że wszystkie te zabawne wzory grupują się, jak figury w kalejdoskopie, wokoło wspólnego ośrodka, wspólnej idei, na tyle poważnej, że ze zdziwieniem patrzymy w twarz wesołego bajczarza: cóż ty właściwie chcesz powiedzieć? I dopiero teraz dostrzegamy tajemniczy błękitny płomyk w jego roześmianych oczach; tak, oczywiście, to nie jest prawda, to baśnie; lecz w baśni jest utopia, a w utopji prorocstwo. Co było, tego nie było; lecz czego nie było, to będzie.

Wiele się popsulo od czasów, kiedy Kronos-Saturn został strącony przez Zeusa, a złote plemię pochłonięta ziemia; bogowie odeszli do swej niebieskiej siedziby, ostatnia opuściła ludzi Dziewica-Prawda. A więc za Saturna Dziewica-Prawda żyła między nami; jakżeż działo się ludziom wtedy? Jedno jest jasne: jeżeli była Prawda, to nie mogło być ani gwałtu, ani niewolnictwa; wszyscy byli równouprawnionymi dziećmi matki — Ziemi, kochającej jednakowo wszystkich. Jeżeli zaś bez niewolnictwa żyło się dobrze, to znaczy, że przyroda brała sama na siebie całą pracę ludzką. Należy mieć na uwadze, że tę wesołą naukę głoszono ludziom ze sceny w święta wesołego boga Dionizosa: fantazja nauczycieli — poetów mogła się swobodnie przehadzać po całym obszarze niemożliwości. I oto, jak u jednego z nich Saturn (lub pokrewna mu postać) opisywał rozkosze złotego państwa:

Więc opowiem ożyciu zażdawnych tych lat,
Jakiem niegdyś śmiertelnym dał w darze
Spokojem i ciszą świat cały tam tchnął
I spokój był jego żywiołem.

¹⁾ Wszystkie cytaty wierszowane przekładu G. Piankówny.

A ziemia nie słała ni chorób ni trosk,
Dobrowolnie dawała, co trzeba.
I z każdego kanału bił wina tam zdroj
A chleby walczyły z plackami,
I skakały przechodniom do samych ich ust,
I błagały: „no, spróbuj, nie grymas!
Co najbielszy do smaku z nas wybrać tu racz”.
A ryby szły same do domu,
I same w półmiskach spychały się w piec,
I same się kładły na stołach.
A zupy potoki płynęły wzdłuż łąw,
Tocząc mięsa ciepłego kawały.
A z rur wodociągu tam ostry ciekł sos,
I każdy, kto chciał, mógł się zbliżyć,

I dla lepszej przyprawy podstawić swój kęs,—
A smak wnet się stawał wyborny.
Miseczki przeróżnych przysmaków tam z drzew
Leciały przechodniom na głowę,
I pieczone kwiczoły, i ciastka, jak deszcz,
Każdemu do gardła wpadały.

Tak, oczywiście, wszystko to nie jest zbyt poważne; lecz nad wszystkimi temi jarmarcznymi żartami, zrodzonymi z nieukróconego apetytu i rozkiełznanej fantazji, unosił się cudny niezemski akord:

Niewolnika świat tam nie widział,
Ni niewolnicy.

(c. d. n.)

MARJAN DUBIECKI

NA STOPNIACH TRONU

(KRÓLEWICZOWA MARJA-JÓZEFA).



a wielowiekowych przestworzach dziejów naszych spotykamy trzy kobiety, których gniazda rodzinne stały zdala od tronu, lecz los, przypadek, zbliżyły je do stopni majestatu królewskiego. Każda z nich widziała na chwilę spełnienie swych życzeń, ale ta chwila, acz radością promienna, stała się jedynie wstępem do długich smutków. Chwila ziszczenia marzeń okupiona została latami łez, rozczarowań, zawodów... Najmniej czasu do smutków miała Barbara z książąt Radziwiłłów, żona króla Zygmunta Augusta — śmierć ją wcześniej nawiedziła, właśnie w dobie, gdy stanęła u szczytu ziszczenia swych pragnień, gdy korona uwieńczyła jej skronie. Długi szereg poetów, dramaturgów, artystów, opiewał piórem i pendzlem jej losy tragiczne, idealizował jej postać. Pozostała nieśmiertelną w literaturze naszej.

Inne dwie miały dużo rozczarowań i wogóle życie smutniejsze, wreszcie uległy zupełnie prawie zapomnieniu. Franciszka z Krasińskich, żona królewicza Karola, księcia Kurlandzkiego, syna króla Augusta III, a również Marja Józefa z Wessłów, królewiczowa — żona Konstantego Sobieskiego — najmłodszego z synów króla Jana III — zbliżyły się do stopni tronu, ale do nich nie doszły. Wcześniej życie im wskazało, iż śliskie są te stopnie... Rodzina męża uznać ich nie chciała; mężowie zaś zbyt byli lekkomyślni, w uczuciach swych niestali... Nic dziwnego, że przez łyżę na losy swe patrzyły. Czar upojenia niedługo trwał; nadeszły wręcz dni rozczarowań, które nie odchodziły, towarzyszyły prawie nieustannie dniom życia dalszego.

O obu tych królewiczowych zbyt mało zebrano materiału; a i ten jaki posiadano, rozpowszechniono nie w formie studjum historycznego lecz w postaci powieści, gdzie fantazja uzupełnia wielokrotnie brak faktów z rzeczywistości, gdzie rysy prawdy okrywa maska, utkana z nici wyobraźni monografistów. Taką piękną tkaniną powieściową uwieczniła pani Klementyna Hoffmanowa pamięć królewiczowej Karolowej w postaci pamiętnika skreślonego niby dłonią Franciszki Krasińskiej, późniejszej królewiczowej.

Dziś już ta praca prawie zupełnie zapomniana. Jest w niej dużo odbicia obyczaju epoki, mało historii. Włosi wszakże, chociaż bardzo późno, przetłumaczyli ową piękną pracę pani Klementyny Hoffmanowej na język włoski, ze względu, iż mówi o prababce dziś panującej dynastji na Italskim półwyspie.

„Bluszcz” — przed czterdziestu laty — dał mego pióra wspomnienie o księżniczce Montear, wnuczce Franciszki z Krasińskich, królewiczowej Karolowej — prawnuczce Augusta III. Oglądał ją często Kraków, około r. 1885, gdy w dobrach swych na Podhalu mieszkała i często zjeżdżała do Krakowa, odznaczając się pewną oryginalnością.

Losy Franciszki Krasińskiej, królewiczowej, nie upamiętniły się niczem wśród społeczeństwa, gdy wśród różnych zjawisk życia królewiczowej Konstancji Sobieskiej spotykamy ślady działalności społecznej, myśl wyższa często u niej zwróconą była ku dobru społecznemu.

Pozostały po niej materiały rękopiśmienne, listy, dokumenty; umiejętna dłoń historyka mogłaby z tej rudy ciemnej wydobyć bodaj okruchy kruszcu cennego. Nie uczyniono nic na tem polu. Pani Sabina Grzegorzewska, mniej głośna autorka z połowy XIX wieku, w sposób niezbyt szczęśliwy obfity materiał zużyła na pracę bardziej powieściową, niż historyczną, nie zadawalniając ani poszukiwaczy prawdy dziejowej, ani estetów. Wytworzyła pani Grzegorzewska rzecz dość słabą jako powieść, a zbyt daleką od monografji historycznej. Opierała się, jak widać z jej pracy, na bardzo cennym materiale — na listach Zofji Leszczyńskiej, zaprzyjaźnionej z królewiczową Konstancją Sobieską, lecz ten znakomity materiał niewłaściwie zużytkowała: zamiast go wydać w całości oddzielnie, zrobiła zeń podścielisko do niezbyt udatnej powieści, gdzie fakty dziejowe poplątane ustępują miejsca fantazji powieściopisarki.

W późniejszych latach historyk, Julian Bartoszewicz, pisał nieco o tej królewiczowej, lecz głównie o sprawach publicznych z jej postacią związanych

i mocno liadał, że źródła dziejowe, któreby mogły jej postać należycie odzwierciedlić — jak owe listy Leszczyńskiej — należycie nieużytkowane, zaginęły.

Dajemy tu ogólne jedynie zarysy tej postaci mało u nas znanej, na którą niewiele zwracano uwagi. Pani Hoffmanowa oświetliła swem pięknem piórem postać Franciszki Krasińskiej. Synowa zaś króla Jana III pozostała w cieniu, choć od pierwszej zasłużyła na pamięć bardziej wydatną.

Charakterystyczną cechą usposobień króla Jana III była pewna demokratyzacja w stosunkach życia codziennego. Wyszedł z masy szlacheckiej i blask korony nie olśnił go. Ze stosunkami powinowactwa, lub znajomości z lat dawnych, młodszych, gdy o koronie nawet nie marzył, nie zrywał: owszem pielęgnował je nawet. O przykłady nie trudno. Stosunek przyjazny z Markiem Matczyńskim, który wyszedł z tłumu szlachty średniej za możności, przez życie całe Sobieski utrzymywał. Matczyński, późniejszy wojewoda ruski, tak zbliżony był do rodziny Sobieskich, iż w chwilach uroczystości rodzinnych występuje jako przyjaciel najbliższy; podpisuje intercyzę ślubną również królowicza Jakóba, jak i królowy Teresy Kunegundy. Ta przyjaźń królewska znajdowała oddźwięk w jego sercu. Matczyński, umierając, a za ledwie o rok przeżył króla, zapisał swe dobra synom królewskim. Wymieniamy tu tylko jeden taki stosunek — może najbliższy — a były szeregi innych, krewnych dalszych, powinowatych. Garnęli się chętnie do progów majestatu, co ich oziębłością, bądź dumą nie odsuwał. Roilo się przeto na pokojach królewskich, również w Wilanowie, jak na zamku warszawskim, jak w Żółkwi, Jaworowie, bądź w nadmorskiem Rzucewie, roilo się od małopolan. Miklaszewscy, jacyś powinowaci, Kańscy „stryjcy herbowni“ i inne ziemiańskie rody z Małopolski często spotykają się na tym dworze, a nawet po zgonie króla, na dworze Jakóba, tak bardzo różnego od ojca. W Olawie, jeszcze niektórych wśród nich widzimy.

Raz zadzierzgnięty stosunek u boku królewskiego niedość iż statecznie trwał, ale Sobieski życzliwość swą przenosił wielokrotnie i na potomków. Podczas wyprawy wiedeńskiej zbliżył się do łask królewskich młody Stanisław Wessel, wojewodzie płocki. Zwrócił król na niego uwagę, jako na towarzysza bojowego. Szczegóły nie są nam znane. Wiemy tylko, że młody Stanisław Wessel wrócił z wiedeńskiej potrzeby zdrów i cały, ale z raną w sercu. Zakochał się w synowicy, czy też córce znakomitego obrońcy Wiednia, feldmarszałka Ernesta Rüdigera Stahremberga, Barbarze i w rok po wyprawie wiedeńskiej ją zaślubił. Sobieski powołał wojewodzicową płocką na dwór królewski, dając jej stanowisko ochmistrynii przy swej córce Teresie Kunegundzie. Na tym dworze, w r. 1685 powiła ona córkę, po kilku latach umarła. Córka Wesslowej, Marja Józefa, pierwsze lata życia przeżyła na dworze królewskim. Po zgonie matki małą Wesslównę oddano do szkoły dla dziewcząt, utrzymywanej przez zakonnice Sakramentki w Warszawie. Szkoła to była jeszcze młoda, bo owe Benedyktynki — zwane „Sakramentkami“ — sprowadziła do Warszawy Marja Kazimiera Sobieska, ku końcowi 1684 r., i osadziła je w Nowomiejskiej dzielnicy stolicy, zbudowawszy im własnym kosztem kościół i klasztor.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

JAK POŁOWA — TO POŁOWA.

Wygląda to, jak anegdota, a jednak było tak naprawdę. Dowodem — akty sądu najwyższego w San Francisco. Kto ciekaw, niech tam zajrzy, a przekona się, jak trudną do rozstrzygnięcia miał sprawę pan sędzia Patrick, gdy stanęli przed nim w zesłym miesiącu poważniejsi małżonkowie, pani Irma i pan Otto Schäferowie.

Małżeństwo to żyło już od dłuższego czasu tak niezgodnie, że obyczajem bardzo rozpowszechnionym w St. Zjednoczonych — postanowiło wreszcie się rozwieść. Sędzia od spraw rozwodowych udzielił im na to zezwolenia, przy rozpatrywaniu kwestyj materialnych pani Schäfer zażądała od męża wysokiego odszkodowania za pozostawienie ją samą, „bez męskiej opieki i bez środków do życia“. Przychylając się do jej skargi, sędzia orzekł, że małżonek musi się z nią podzielić po połowie wszystkim, co posiada, włączając w to urządzenie domu, nabyte wspólnym kosztem przez oboje małżonków.

I tu dopiero zaczyna się tragedia. Czy pan Schäfer źle zrozumiał wyrok sędziego, czy też umysłowość tego zacnego obywatela była tego rodzaju, że trzymał się on zawsze ściśle „literary prawa“, dość, że po powrocie do domu przystąpił on niezwłocznie do wykonania włożonych nań obowiązków — i to w sposób wysoce oryginalny. Przyniósł z kuchni siekiere, zakasał rękawy i nie wiele myśląc, jął rąbać wszystkie łóżka, szafy, krzesła, kanapy, obrazy, dywany, nawet lustro — jaknajdokładniej na dwie równe połowy. Gdy już wszystko, nie wyłączając fortepianu, było w ten sposób sprawiedliwie „rozdzielone“, pan Schäfer odetchnął z ulgą, otarł pot z czoła, zawołał ludzi i, naładowawszy samochód wszystkimi przepołowionymi meblami, odwiózł ten cały dobytek do mieszkania swojej żony.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki lament podniosła pani Schäferowa, ujrawszy swoje meble w tak barbarzyński sposób zniszczone!

„Mój wyprawny fortepian! achi ach!“ — W uniesieniu gniewu pobiegła natychmiast do sądu i złożyła skargę na męża.

I oto sędzia trybunału najwyższego Patrick ma rozstrzygnąć tę wysoce zawikłaną sprawę. „Panie sędzio, jam nic nie winien, ja tylko wykonałem dosłownie wyrok sądu“ tłumaczy się oskarżony. „Niech mu pan sędzia nie wierzy, to hipokryta, łotr, rozbójnik, on mi to zrobił na złość, żeby mnie zniszczyć, zmarnować mi mój posag!“ woła ze łzami skarżąca.

Po dłuższym namyśle sędzia orzekł, że p. Schäfer działał niewątpliwie w dobrej wierze, wykonywując wyrok sądu tak, jak go rozumiał, skazał go jednak go na zapłacenie kosztów naprawy uszkodzonych mebli i polecił mu, by na przyszłość starał się bardziej wnikać w intencje, a nie brzmienie dosłowne wyroków sądowych.

CO JEST NAJCENNIJSZEGO W KOBIECIE.

Pod tym tytułem ogłosiło ankietę jedno z pism duńskich i otrzymało około 20.000 odpowiedzi. Niektórzy czytelnicy twierdzili, że najcenniejszą cechą kobiety jest jej uroda; inni — że miłe i zrównoważone usposobienie; jeszcze inni cenili nadewszystko w kobiecie skromność, wierność, oraz wogóle wszystkie cnoty duchowe. Największą jednak ilość odpowiedzi — bo około 17.000 na 20.000 — brzmiała mniej więcej tak: „Najcenniejszą cnotą w kobiecie jest... umiejętność gotowania smacznych obiadów!“ Z. B.

Z TEATRÓW

Ze zgonem ś. p. Żeromskiego i Reymonta nastąpił zmierzch wielkiej powieści polskiej. Śród młodych — niewątpliwie interesujących talentów — nie widzimy nikogo, który mógł choć częściowo zapełnić tę olbrzymią lukę, jaką utworzyła się w naszej literaturze, gdy Oni zamilkli... Prus, Sienkiewicz, Żeromski, Reymont... Straty tej nic nam nie zastąpi, nic nie wynagrodzi.

Niech pociechą będzie, iż podobny rozkwit nie może trwać zawsze, że naród, jak gleba, wysilwszy się, musi ugorować. A Oni byli z narodu. Ale, że posiadamy w sobie moc i skarby przez nas samych niedoceniane — niwa naszej literatury rodzić zacznie na innym polu. O ile przewidywania moje nie będą mylne — jest to pole twórczości dramatycznej, do tychczas po macoszemu traktowane przez Rozdawcę Talentów. Od czasów Wyściańskiego i Przybyszewskiego mieliśmy tylko komedjopisarzy. Z szeregu tych wyłonił się Emil Żegadłowicz. Jego „Lampka oliwna” (Teatr Narodowy) to tragedia klasyczna, w której niema ani jednego zbytecznego słowa, ani jednej niepotrzebnej barwy w malowaniu charakterów tak wyrazistych, tak jasnych, iż słuchacz pojmuje najsubtelniejszą myśl, wnika w najgłębsze intencje poety. „Lampka oliwna” to tragedia chłopskiego Króla Lira i chłopskiej lady Macbeth.

On, stary chłop beskidzki, kona w alkierzu, i „nie może skonać”, choć na śmierć jego, jak na wyzwolenie, czekają dzieci: rozpity, zdemoralizowany wojną Błażek i Hanka — uosobienie Władzy Posiadania. Hanka — to płomień. Kocha Jaśka namiętnością nieokielżaną, która ustępuje tylko wobec chęci Posiadania, a właściwie chęci Władzy. Dla tej władzy, dlatego by być „pierwszą we wsi” pójdzie Hanka za Dominika, skrzywdzi brata, dodusi konającego ojca, wyrzeknie się kochania... Ale to ostatnie złamanie silną dzweczącą. Hanka przypadkiem, bez woli staje się przyczyną śmierci Jaśka. Hanka rozumie, że z nim straciła wszystko, że wszystko straciła dla niej wartości: „gront”, chałupa, dobytek, świecidelka Dominika. Niema Jaśka — niech wszystko zginie! Niech wszystko ogarnie płomień! I ja, i trupa kochanka! Hanka podpala chałupę. Ta samą lampką oliwną, która jak sumienie, tliła się nagle przed obrazami świętych..

Jak wspomniano wyżej „Lampka oliwna” ma elementy tragedji klasycznej. Rolę chóru odegrywają w niej Świątki. Opuśczają dom, gdy zbrodnia zostaje dokonana.

Tak granej i reżyserowanej sztuki, jak „Lampka oliwna” nie widzieliśmy oddawna. Debiut reżyserki Węgrzyna zamienił się w prawdziwy triumf. On sam stworzył pełną uroku i liryzmu postać zakochanego Jaśka. W tem skłębieniu pierwotnych instynktów przypadła mu rola serca. Bednarczyk dał niezrównaną postać wioskowego Króla Lira. Kapitałnym Błażkiem, wspinałym w każdym geście, każdej intonacji, był Jaracz.

W niezrównane opowiadanie o wojnie („Rum się skończył, Taljan wygrał”) tchnął akcenty szczerzej prawdy. Hankę powierzone na zmianę pp. Panczewicowej i Mirskiej. Pierwsza wniosła ze sobą na scenę więcej kobiecości, druga — temperamentu. Obie wywiązały się z trudnej roli żywiołowej Hanka — ponad wszelkie pochwały. Dominika (amerykańskiego nuworisza, po chłopsku zachłannego, po międzynarodowemu — brutalnego) grają pp. Myszkiewicz i Stoms. I jeden i drugi wyborny. Oprawa dekoracyjna — bardzo ładna. Jednym słowem — pełny sukces artystyczny.

Z. P.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem księgarni M. Lisowskiej ukazały się następujące dzieła treści pedagogiczno-naukowej: A. Szycówny „Jak badać umysł dziecka”, T. Jaroszyńskiego „Metody badań psychologicznych w szkole”, H. Mościckiego „Wskazówki praktyczne dla nauczycieli historii” i Wł. Dzwonkowskiego „Repetitorium maturalne”, cz. III i IV.

* * *

Firma wydawnicza Fiszer i Majewski wydała ciekawe dzieło znanego francuskiego autora Ernesta Psichari p. t. „Głosy wołające na puszczy” w doskonałym przekładzie Zofji Morstinowej.

* * *

Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa wyszły w druku tomy XIX i XX dzieł Wł. St. Reymonta („W głębiach” i „Na krawędzi”), Wł. Orkana „Listy ze wsi”, powieść Jana Łady „W zakłętym zamczysku”, zbiór opowiadań Z. Bartkiewicza p. t. „Polityka w lesie”, Boya — Żeleńskiego „Flirt z Melpomeną” (wieczór V-ty), J. Makarczyka „Przez Palestynę i Syryję”, Hajoty „Z dalekich ładów”, St. Piołun. Noyszewskiego „Baronowa Inborn”, Szpotańskiego „Skradziony rękopis”, Z. Reutt-Witkowskiej „Pięlgrym” A. Słonimskiego „Pod zwrotnikami”, oraz nowe wydanie „Pana Balcera” M. Kononickiej z przypisami prof. J. Czubka

* * *

Nakładem „Czartaka” ukazał się tom poezji Janiny Brzostowskiej p. t. „Erotyki”.

* * *

Two Wydawnicze J. Mortkowicz drukuje szereg nowości z dziedziny beletrystyki rodzinnej obcej. Na pierwszym miejscu wymienić należy tom poezji J. Iłakowiczówny p. t. „Polów” i zbiór nowel M. Dąbrowskiej „Ludzie stąd”. O książkach tych umieścimy niebawem dłuższą recenzję. Z przekładów zwracają uwagę dwa dzieła francuskie: Roger Martin du Gard „Szary zeszyt” i Panait Istrati „Kyra Kyralina”

* * *

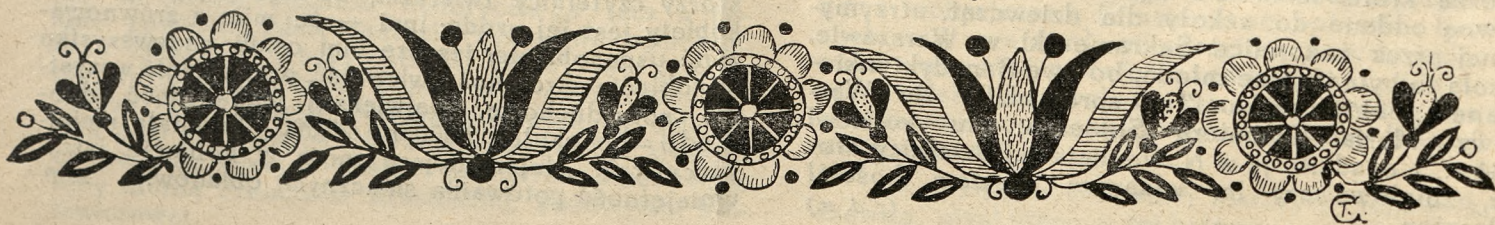
Księgarnia św. Wojciecha podjęła publikację utworów pisarzy polskich i obcych w taniem i przystępnym wydaniu „Dla Wszystkich”. Ukazało się drukiem już około 60 tomików tego popularnego wydawnictwa. Widzimy wśród nich wserji A. utwory A. Domańskiej, Kajetana Kraszewskiego, Anatola Krzyżanowskiego, J. Relidzińskiego, Rafała Żegoty i innych znanych pisarzy polskich.

Serja B. obejmuje przekłady najlepszych autorów obcych, wśród których na plan pierwszy wysuwa się dziełko znakomitego myśliciela Ernesta Hello p. t. „Opowieści niezwykłe”. Dalej widzimy utwory Dickensa, Collinsa, Gobi neau, opowieści podróżnicze K. Guyona i M. Farneya, życiorysy Edisona i Champolliona i t. d.

Najpoczytniejszy tygodnik dla dzieci Płomyk, wydawany przez Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, święci już dziesiąty rok swego istnienia. Miło do ręki wziąć to sympatyczne czasopismo dziecięce, na każdej stronicy którego widać wielką sumę pracy włożoną i w treści i wygląd zewnętrzny pisma. Numer jubileuszowy w godny uznania sposób daje młodym czytelnikom możliwość całkowitego zapoznania się z pracą nad pismem.

Nakładem Redakcji „Mazurskiego Przyjaciela Ludu” ukazał się „Kalendarz dla Mazurów” na r. 1926, zawierający bardzo obfity dział historyczno-etnograficzny, wyjątki z celniejszych utworów naszej literatury, itd. Znana działaczka społeczna mazurska E. Sukertowa drukuje w tym kalendarzu szereg bardzo interesujących artykułów, poświęconych folklorowi ludu mazurskiego. Z uznaniem podnieść należy bardzo staranną i estetyczną zewnętrzną szatę wydawniczą tej książki.

Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej wydał książkę p. t. „Praca Oświatowa” (wskazówki dla pracowników w Kołach Mł. Wiejskiej) napisaną przez p. Jana Deca. Książka zawiera podstawy i główne wytyczne idee w pracy oświatowej na wsi, oraz szczegółowe rozważania nad metodami tej pracy. Ponadto książka zawiera wykazy tematów odczytów i pogadanek, skróty treści i wykaz książek, potrzebnych do opracowania odczytów. Treść książki jest następująca: I Podstawy ideowe pracy oświatowej, II Celi treści planowej pracy oświatowej, III Ogólne uwagi o metodach pracy oświatowej, IV Organizacja pracy oświatowej na terenie Związku Mł. Wiejskiej, V Rodzaje prac oświatowych w Kołach Mł. 1) zebrania zbiorowe i czytanki, 2) czytelnie i biblioteka, 3) odczyty i pogadanki, 4) kursy oświatowe, 5) wycieczki, 6) praca młodzieży w Domu Ludowym — zbiory nauki i kultury ludowej. VI Materiały do odczytów i pogadanek w Kołach Mł. a) odczyty organ. oświatowe, b) odczyty ilościowe, c) odczyty o wychowaniu fizycznym i duchowym, d) pogadanki przyrodniczo-geograficzne, e) pogadanki o Polsce, f) pogadanki społeczne i gospodarcze. Biblioteczka Koła Młodzieży. Wykaz czasopism, poleconych do czytelnia.



MODY I ROBOTY



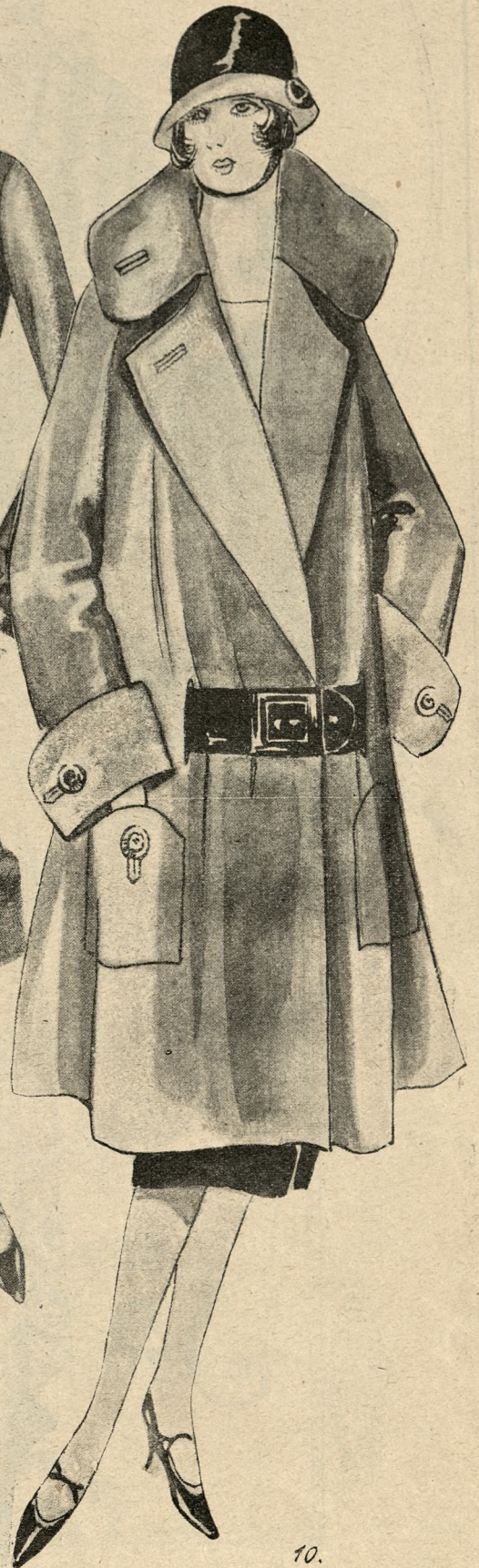
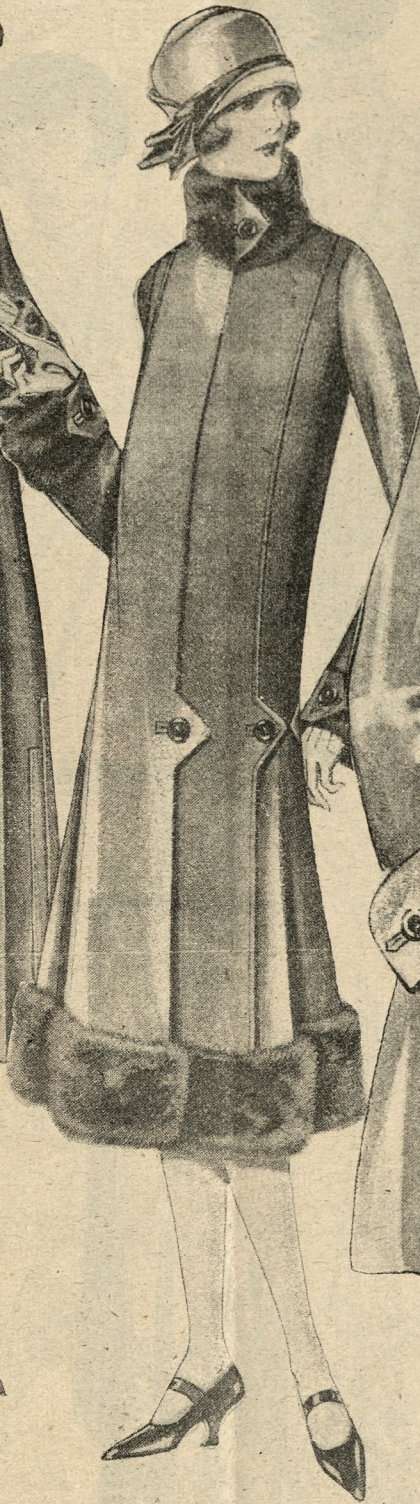
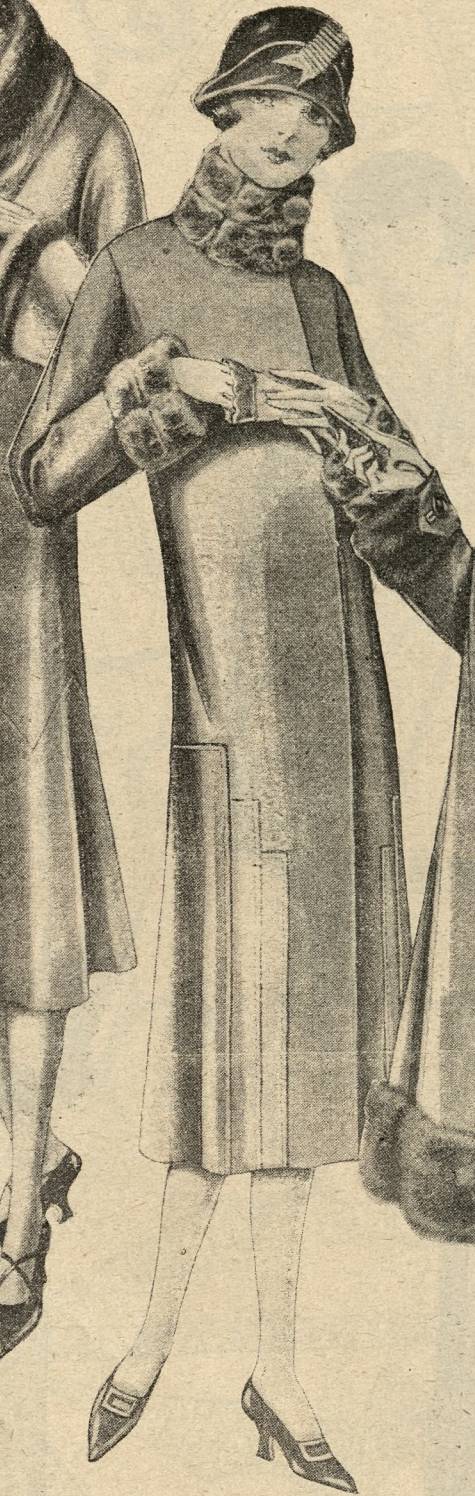


3

7

5

6

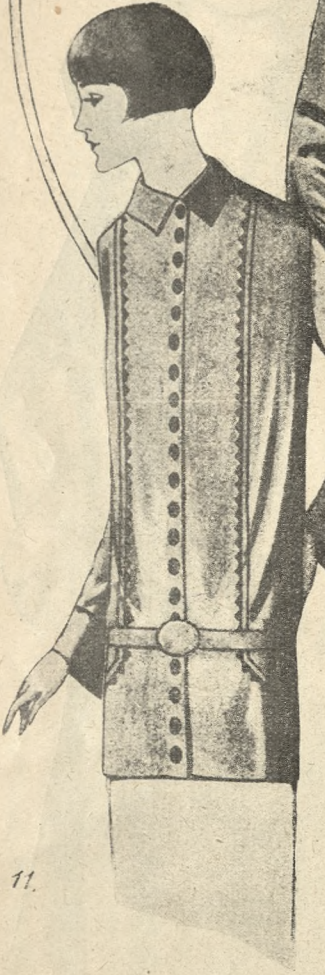
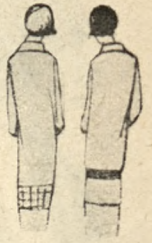


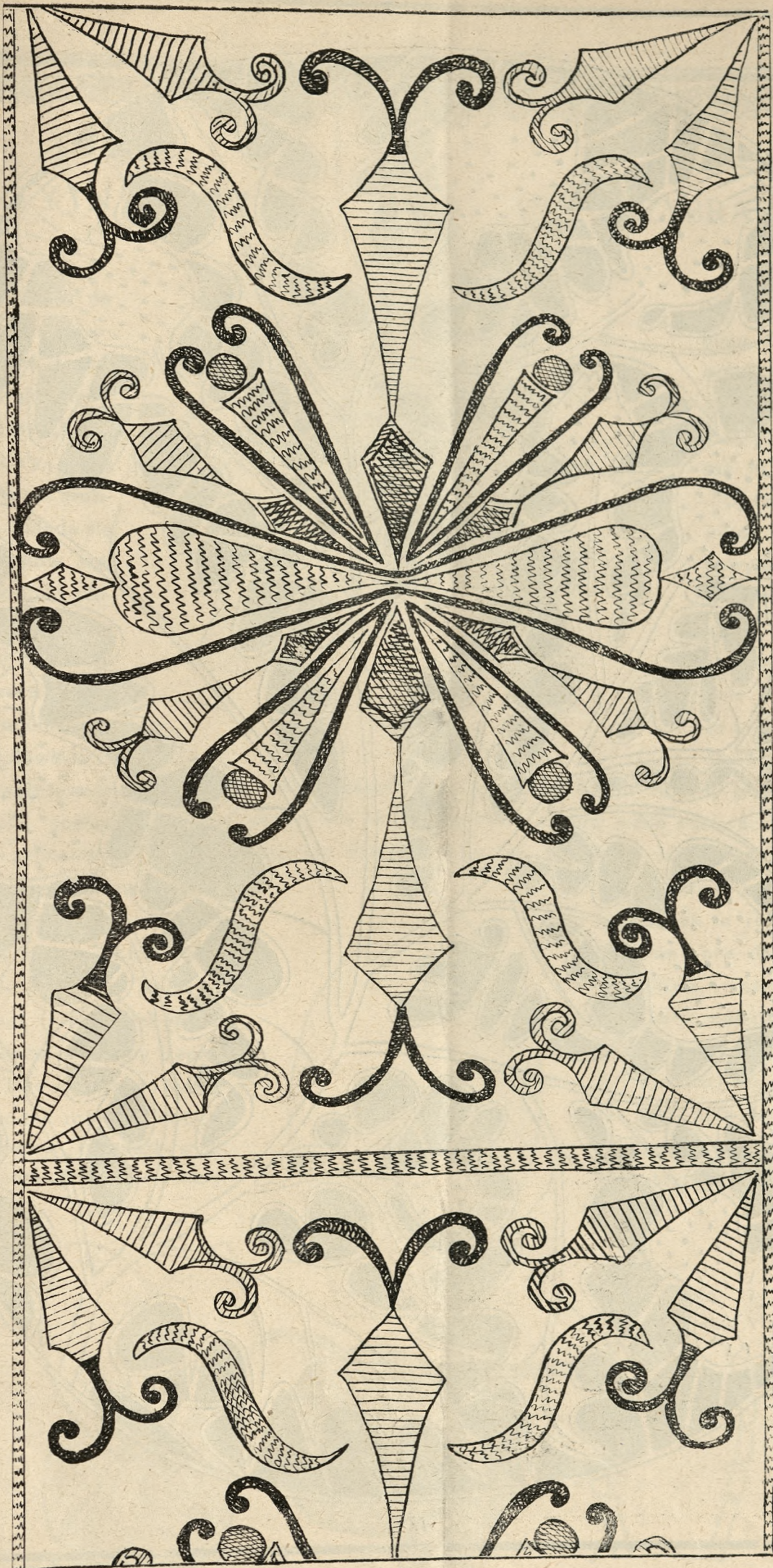
2.

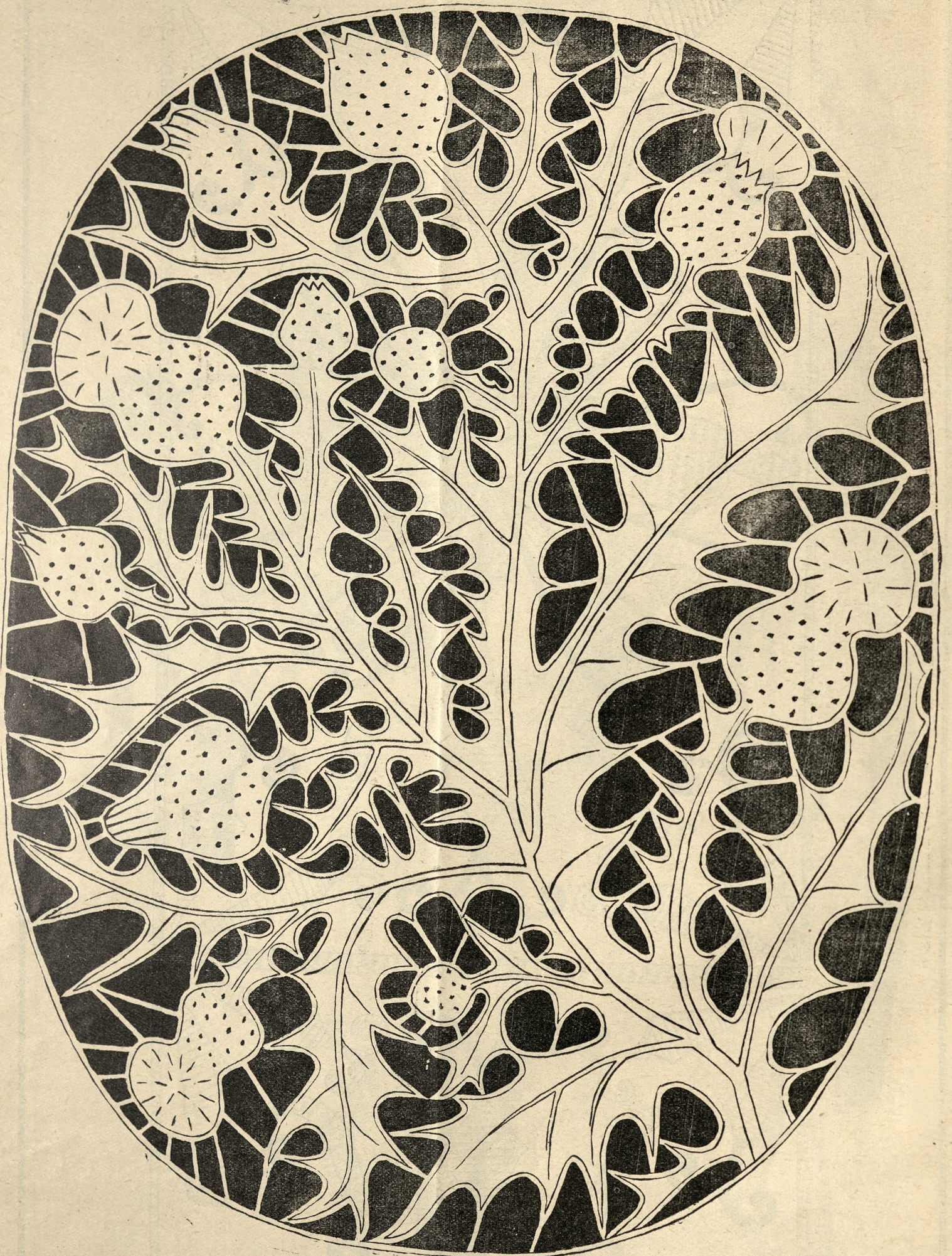
8.

9.

10.







FANTAZYJNY KWIAT

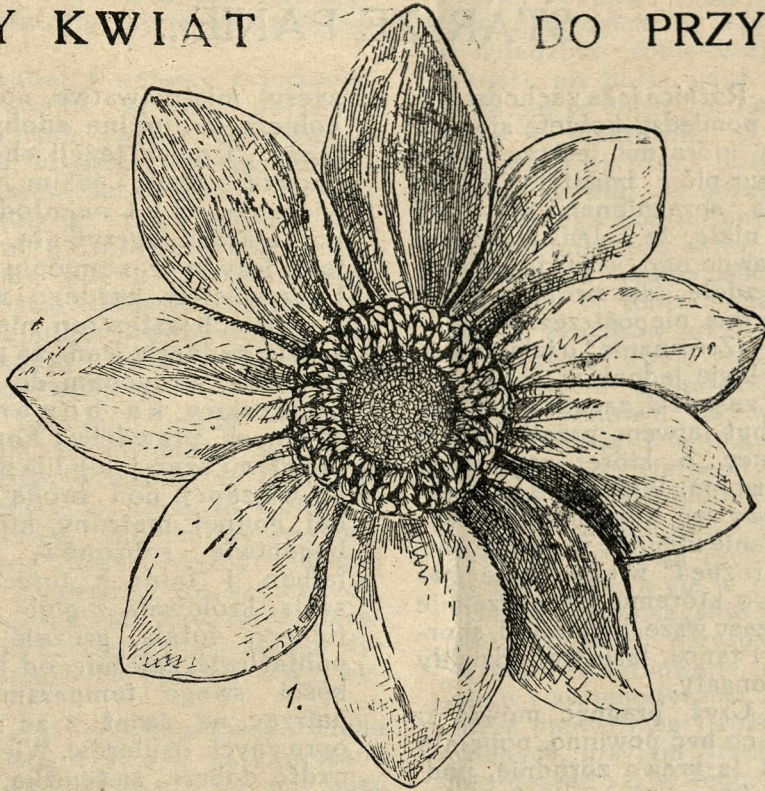
DO PRZYBRANIA SUKNI

Kwiat Nr. 1 służy do balowych i do wieczorowych sukien. Do toalet balowych robi go się z gazy — do cięższych sukien z georgette'y, crêpe de chine'u, a nawet grubszych materyj. Składa się z dziewięciu listków wyciętych z podwójnie złożonego materiału, które krając podług rysunku Nr. 3 nadpuszcza się na założenie 5 milimetrów dokoła. Obie połówki każ-

dego listka przyłożwszy dokładnie do siebie, zeszyć rzadko naokoło, zostawiając jedną stronę, nie zeszytą do przewrócenia. (r. 5) Przygotowawszy dziewięć listków przymocowywa się do kółka z merli $4\frac{1}{2}$ średnicy, które stanowi podstawę kwiatu. Listki układa się naokoło tak — aby jeden zachodził na drugi. (r. 4) Środek kwiatu robi się szydełkiem z wełny zephyr koloru złota, l. b. ze sztucznego jedwabiu. Na ten środek robi się kółeczko z trzech oczek łańcuszkowych zamknięte jednym ścisłym oczkiem, obrabia je się

6-cioma ścisłymi oczkami, drugi rząd ma 12 ścisłych oczek i tak wkoło, przybierając, aby następne rzędy za wie

rały: 20, 23.



1.

go woreczka, licząc od góry przyczepiamy podwójną nitkę, robimy jedno ścisłe oczko, a później wokoło na zmianę: 7 oczek łańcuszkowych, jedno

ścisłe oczko w każde oczko woreczka, jak to rys. Nr 2 wskazuje. Kto nie chce, lub nie umie robić szydełkiem, może zrobić środek kwiatka z materji, lub z aksamitu. Wykrajać z tektury kółko potrzebnej wielkości, nałożyć na nie waty tak, aby było wyższe w środku i obciągnąć je okrągłym kawałkiem jedwabiu, lub aksamitu trochę większym od tekturowego kółka. Taki aksamitny guziczek przymocować należy do środka kwiatu, a równie ładnie będzie wyglądał.



3.

2.

5.



STARSZE PANIE...

Różnica jaka zachodzi dzisiaj pomiędzy kobietą starszą, a tą, która ma jeszcze pełne prawo pić z bogatego źródła życia spragnionymi ustami, jest tak nikła, że zaledwie bardzo wprawne oko w lot ją uchwycić zdoła, dla profana przędzie ona niepostrzeżenie.

„Zrównanie“ o jakim mowa kryje jednak w sobie pewne zasady, zasady utajone w zbyt łatwym przekroczeniu granicy, o której zapominać nie wolno. Winna się ona zarysowywać subtelnie, a zdecydowanie ujmując w pewne karby „rozpęd“ wieku Balzacowskiego, któremu tak uprzejmie te czasy wszechwolności, sportów i tańca, łaskawej udzieliły prolongaty.

Czyż, pragnąc mówić o tem co być powinno, popełnię zbyt jaskrawą zbrodnię, pod-

kreślając w pierwszej linii to, czego wystrzegać się trzeba, a co tak łatwo wiedzie nas ku zabójczej śmieszności?

Z lic, na których życie rylcem swym nieubłaganym nakreśliło historję cierpień, i historję lat przeżytych, winien przedewszystkiem zniknąć... róż. Jeżeli pogodzić się musimy z nieubłaganym biegiem czasu, co serce nasze odziera ze złudzeń, a myśli i uczucia z wiosnianej jasności, pogódźmyż się i z rumieńcem, który traci koloryt jutrzeńki, wierząc w to, że sztuka, przeważnie bez umiaru stosowana, zaszkodzić tylko może ogólnej harmonji naszego wyglądu.

Róż, puder, ołówek do brwi i warg, narówni z bezkrytycznym hołdowaniem modzie, są dla osób starszych dziedzina niebezpiecznych doświadczeń, które rzadko kiedy kończą się zwycięstwem.

Linja, sylwetka, ruchy, ich lekka zwinność, wszystko to jest nad wyraz czułe na przekroczenie pewnego okresu, który w życiu kobiet przychodzi nierównomiernie, a który, w imię estetyki winien być zauważony i uszanowany.

Takim przełomem bywa ciężka choroba, jakieś bolesne przejścia, warunki niepomyślne moralnie, czy materialnie, z którymi borykać się trzeba, wreszcie jakiś fatalny rok, co bez ujętych przyczyn niesie za sobą zniszczenie i zagładę. Spostrzec się w porę, oto

szczyt mistrzostwa, na które kobieta kulturalna zdobyć się może... i musi, jeżeli chce zachować urok, jakim włada wiecznie, od lat najmłodszych po starość zgrzybiałą, urok jaki leży w zrozumieniu praw i przywilejów każdego wieku.

Niech wstęp ten nie każe sądzić żadnej z Pań, że pisząc te słowa, wzdycham do epoki czepeczków karbowanych, strojnych prawdziwą koronką i puklami szarej, lub lila wstążki, wiązanej pod brodą dawnej godnej matrony, która w bogactwie robronów, riusz, falban i fałdach tureckiego szala, królowała z głębi przytulnego fotela, groźnie, lub pobłażliwie, zależnie od krewości swego temperamentu, patrząc na świat z za złoto oprawnych okularów. Wiem aż nadto dobrze, że ścieżka, któ-

rą kroczy dzisiejsza „Starsza Pani“, prowadzi nieraz, przez szlaki udeptane stopami młodych. Spotykamy ją u źródeł sztuki, nauki, uprawiającą sporty, tańczącą modne tańce, biorącą udział w życiu społecznym i towarzyskim, jako tę, która ma w sobie dużą dozę radości życia, która zasiadając do uczy, zna i docenia smak potraw, jakie jej przypadają w udziale.

O takiej, „Starszej Pani“, wytworze epoki powojennej, w której żyjemy myślę, pisząc te słowa, a pragnąc znaleźć klucz do doskonałości jej sylwetki, mimowoli szukam związłego określenia tego, co w sobie jednoczyć powinna, a trafnem i szczęśliwie dobranem zdaje mi się być tylko jedno słowo, któremu na imię... umiar.

Umiar w barwach, umiar w rysunku całości, w formie i geście, oto wskaźnik najpewniejszy i niezawodny.

Dostosowanie mody do siebie, a nie dostosowywanie siebie do mody jest mistrzostwem nielada, trzeba mieć po temu wrodzony genjusz, lub mozolnie nabyta umiejętność.

Osoba, której piąty krzyżyk jest o tyle lekkim do dźwignia, że nie odebrał jej smukłości kształtów, mając dobry smak, nie ubierze się jednak w falisty klosz o przepisowej długości, odkrywającej łydkę po kolana, nie pójdzie do teatru, na bal, czy przyjęcie w barwnej, cudacznie kreślonej sukni, nie odda pierwszeństwa mo-



dzie ekscentrycznej i zwracającej uwagę. Wybierze ona z pośród barw spokojne, ze skrętów modnych linii, wyłowi te, które zbyt szcuple, lub zdradzające tendencję bujności kształty, ujmą w formę do doskonałości zbliżoną.

Z kolorów: czarny, granat, fioletowy, brązowy, popielaty, gdy chodzi o suknie strojne, perłowy, stalowy, czarny z białym, lub czarny uświetniony piękną prawdziwą koronką, bogatym haftem, lub galonem, bez domieszki jaskrawości, w tonie spokojnym utrzymany, futra, biżuterje, tylko wartościowe i nigdy w nadmiernej ilości, głowa uczesana strojnie, lecz nie pretensjonalnie, bucik, czy pantofelek na umiarkowanej wysokości, obcasie estetyczny, a jednak wygodny, nie krępujący i pozwalający zachować swobodę i harmonję ruchów, która jest jednym z większych uroków kobiety.

Pończoszki, wobec ustalonej mody noszenia jasnych, w tonie spokojnym, cienie piaskowe, popielate jaśniejsze i ciemniejsze, wreszcie do czarnego lakierka — czarne. Kapelusz, o ile tylko moda nie zakazuje tego kategorycznie, dopełniony woalką, która tak świetnie tuszuje braki niezbyt świeżej cery, bukietek fiołków świeżych, lub sztucznych, wpięty dyskretnie w klapę żakieta, czy futra, parasolka o rączce kształtnej i estetycznej, smuga dyskretnych i zawsze jednakowych perfum, oto i wystarczające szczegóły.

Osoba starsza, która z przywileju swego wieku nie jest obowiązana tak ściśle śledzić za kaprysami mody, winna przyjąć sobie za zasadę to, aby mieć ubrania niewiele, ale w gatunku wysokim i wykonane bez zarzutu. Kostjum, płaszcz, okrycie, czy suknia, skrojone dobrze, uszyte z tkaniny pierwszorzędnego gatunku, z małemi przeróbkami i modyfikacjami służyć mogą lata i łatwo przysporzą adeptek prawdzie, jaką zwykli głosić anglicy, że: „są

za biedni, aby kupować tandetę”. Osoba młoda, pragnąca ciąglej zmiany dostosowanej do chwili, łatwiej pozwolić sobie może na sprawianie galganek, niedrogich, a efektownych. „Starsza Pani”, w dziedzinie toaletowej hołdować winna przedź jakości, niż ilości, gdyż nie licuje z jej powagą strojenie się w coraz to inne szmatki, w sztuczne świecidła i efektowne, a mało wartościowe dodatki. Kostjum i okrycie, dostosowane do sezonu, jedna suknia czarna, lub granatowa, strojna żabotem, czy odmiennego koloru materją, druga wieczorowa, srebrem koronki, lub haftu, odpowiadająca wymaganiom chwili, coś praktycznie pomyślanego na codzień, spokojny w tonie sweater, miękki, puszysty, lekki szal, z zabytków przeszłości uratowane futro, które świetnością swoją strój dopełnia i podnosi, oto i rynsztunek wystarczający, aby w pełnej chwale zejść z widowni na wygodny fotel obserwatorki, której finezja i wnikliwość w życiu zdobyte, są na tej placówce wiernymi i dostarczającymi wielu ciekawych chwil sojusznikami.

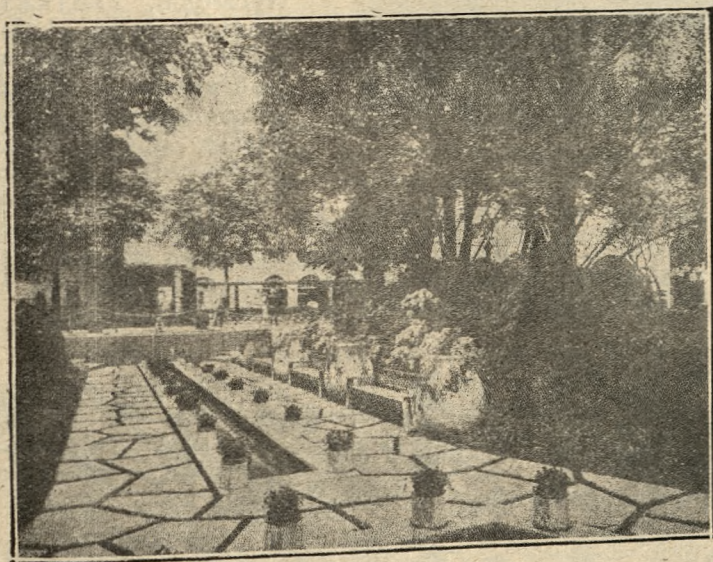
Na zakończenie pragnęłabym zwrócić uwagę tych, co te słowa czytać będą, na przykre niespodzianki jakie kuje w sobie niestłuzna obawa przed siwizną i zapobieganie jej farbowaniem włosów, które najczęściej przysparza kłopotu i zmartwienia. Włosy raz farbowane, muszą operacji tej podlegać stale i systematycznie, gdyż odrastają zawsze w kolorze pierwotnym i różnią się od sztucznie zabarwionych, przytem trzeba wielkiej ostrożności, aby nie dostać się w ręce fryzjera, który, grzesząc zbyt małym doświadczeniem w tym względzie, użyje złej farby, lub zastosuje ją wadliwie, wprawiając tem samem w kłopot prawdziwy swoją ofiarę, gdy tymczasem włos przypruszony siwizną, lub popielaty, czy biały, szczególnie w zestawieniu ze świeżą cerą i zreczną sylwetką, ma swoisty i niecodzienny urok.

W. D.

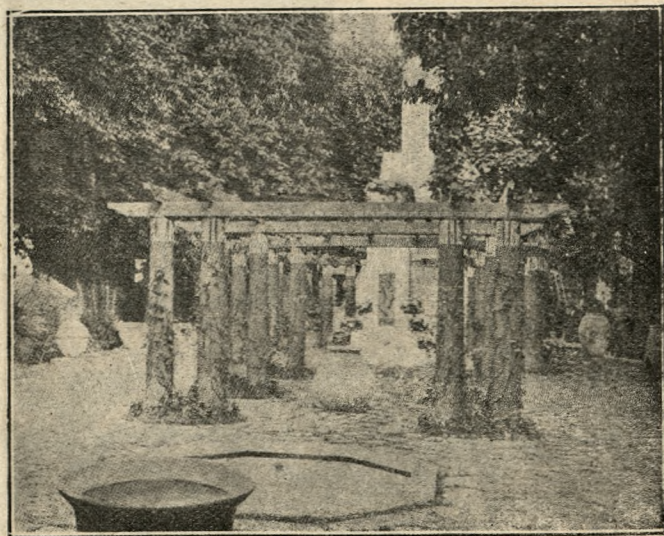
NOWA SZTUKA W OGRODACH

Jesteśmy świadkami przeobrażenia zupełnego w dziedzinie każdej sztuki — co jaskrawo widzimy w stylu nowoczesnych ogrodów. Po wieku XIX, który ucho-

dzi może słusnie za epokę najmniej sprzyjającą tworzeniu się nowych kierunków — przyszły czas naśladownictwa — a robiono to z miłością, bo ko-



Mały ogródek. — Kompozycja ar. Marrast.



Fragment ogrodu. — Kompozycja A. Dalmat i Laverque.

chano się w przeszłości. Dziś ludzie niechętnie patrzą wstecz, a trawieni gorączką szukania nowych dróg i głoszenia nowych haseł—wypowiedzieli śmiało energiczną wojnę naśladownictwu wszelkiemu i wzięli się do nowego dzieła. Pierwsze już próby wykazały jak trudnym jest zadanie „twórcy” — starą jest bowiem prawda, że łatwiej jest niszczyć, niż budować— to też wiele wysiłków zdradziło tylko mierzalność i nieudolność. Jednak niektórzy artyści ogrodnicy wykazali już ogromną pomysłowość i dochodzą do efektów bajecznych.

Ten, kto oglądał ogrody na wystawie sztuk dekoracyjnych w Paryżu, zrozumie łatwiej styl nowy w ogrodnictwie i wyobrazić sobie potrafi czem będą ogrody nasze w przyszłości. Dziś, jak dawniej, ogrodnicy francuscy mają pierwszeństwo pod względem fantazji i smaku. Ponieważ słusznie ktoś powiedział, że jakkolwiek nowym zda się być jakiś styl—zawsze jednak ma w sobie coś z poprzedzającej go epoki—tak i dziś wyraźnie widać natchnienie czerpane ze wschodu: ogrody Semiramidy, ogrody pełne przepychu, kamiennych schodów, urn, rzeźb—co krok wody tryskają z fontan przedziwnych, z konch marmurowych, wogóle wszędzie bogactwo sztuki zdobniczej—raczej przeładunek każdej przestrzeni ilością ornamentów— a użyte są do tego obficie szkła kolorowe, kamienie i płyty różnobarwne.

Powstaje, rzecz można, architektura ogrodowa z cementu, lub drzewa— a więc portyki, kolumny, obeliski, balustrady, pergole—wszystko malowane, barwnie i śmiało. Widać dążenie do wyzyskania małych przestrzeni w kierunku nagromadzenia na niej dużej ilości efektów. Myślę, że dzisiejsi ogrodnicy idą naprzód—wyrzedzają epoki. Wszelkie dobra znikają z po-

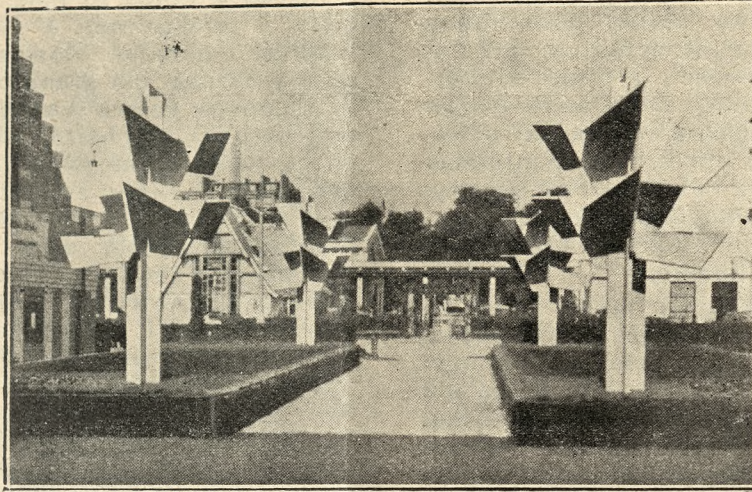
wierzchni ziemi—fortuny się niwelują—więc i ogrody przeistoczyć się muszą— w ogródki. Na Wystawie Paryskiej widzieliśmy właśnie obraz przyszłych ogrodów—tu artyści francuscy z swym mistrzem p. Forestier na czele zmuszeni byli

sztukę swą zastosować do szczupłych ram i małych przestrzeni, które dzieliły pojedyncze pawilony—i wywiązali się z zadania—miejscami wspaniale.

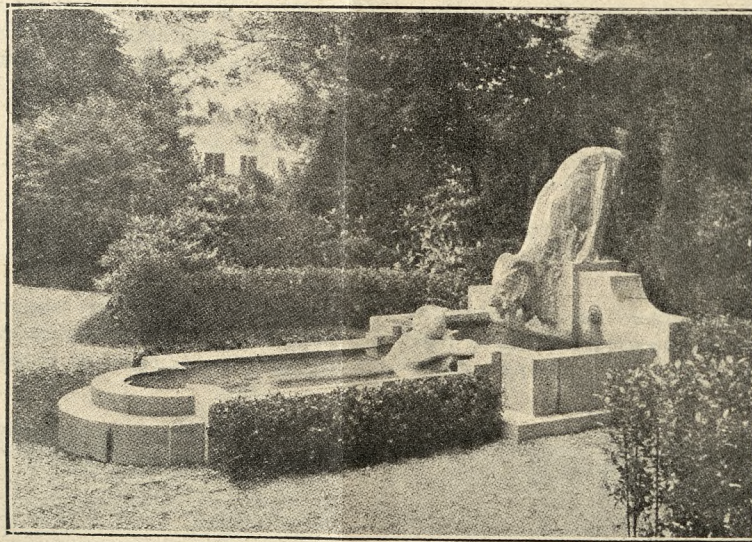
Tam, gdzie rozporządzali tłem majestatycznych prastarych drzew, dających najpiękniejsze efekty światła i cieni, urozmaicili je cudnymi kwietnikami, kępami rododendronów i hortensyj. Na wielkie płamy olśniewających begonij, rzucili fontanny o kamiennych basenach, marmurowe, płaskie misy o wnętrzu ze złotej mozaiki, alegoryczne płaskorzeźby, a wśród nich wijące się niby tęczowe wstęgi, długie sznury kwiatów obrzeżone barwną, kontrastową ceramiką. Na małych, ciasnych przestrzeniach brak drzew i zieleni zastąpiono sztucznym decorum, a więc kolumny, arki, balustrady i kraty, jaskrawo malowane i odbijające wśród zieleni krzewów.

Jeden z artystów J. Martel skomponował nawet dekoracyjne drzewa z cementu, umieszczone w małym ogródeczku, obrzeżonym nisko strzyżonym bukszpanem.

Naogół dzisiejsza sztuka ogrodnicza odbija ogromnie od dawnej. Na pierwszy plan wysuwa się przewaga linii ostrych, geometrycznych, trójkąty, stożki, dalekie kolory pierwotne, możliwie wyjaskrawione, wreszcie urozmaicenie przyrody wielką ilością sztuki zdobniczej. Jesteśmy niewątpliwie u progu nowej ery. To, co dziś widzimy w dziedzinie tworzenia ogrodów, wywołuje zdziwienie, olśniewa czasem, przynosi nieraz wrażenie spokoju i wypoczynku, ale nie budzi w duszy natchnienia, nie rwie myśli do lotu. K



Drzewa z cementu. — Kompozycja J. Martela.



Fontanna — Kompozycja rzeźbiarza Proszyńskiego.



B A T I K

III

Dla tych, którzy nie mogą, lub nie chcą włożyć zbyt wiele czasu i pracy w farbienie batików barwnikami roślinnymi, pozostają do rozporządzenia barwiki sztuczne (chemiczne), a raczej te z pomiędzy nich — które przemysł chemiczny za pośrednictwem handlu publiczności dostarcza. Niemożliwą rzeczą jest dla człowieka niefachowego samodzielne rozpatrzenie się w 2000 barwików, jakich chemja dostarcza, wymagałoby to bowiem paru lat studjów chemicznych, to też musi polegać na tem, co mu przemysł jako rzecz dobrą poleci.

W tej niemożności kontroli leży główne niebezpieczeństwo używania barwików sztucznych; znajdują się bowiem wśród nich barwiki nic nie warte, tj. takie, które szybko pełzną na świetle i łatwo się dadzą wyprać, — są barwiki lepsze, które wytrzymują parę lat, — są wreszcie i takie, które w swej trwałości i piękności nie ustępują barwikom naturalnym.

Niesłusznym jest zarzut, że wszystkie barwiki sztuczne są złe i dają kolory brzydkie; słusznym jest natomiast oburzenie z powodu tego, że ogół przyjmuje bezkrytycznie wszystko, co w handlu się znajduje.

Barwiki sztuczne dzielą się na wiele grup, zależnie od pochodzenia, lub pokrewnego sobie składu chemicznego. Najmniej trwałe są t. zw. aniliny, o kolorach żywych i krzykliwych, dzięki którym wyrobiła się tak bardzo niepochebna opinia dla chemicznych barwików. Trwałością i pięknością podobne barwikom naturalnym są alizaryny, odpowiadające im także składem chemicznym i wymagające zaprawiania tkanin. Zaprawianie materiału olejem (o czem pisałam na początku) używa się właściwie tylko do czerwonego koloru, należącego do grupy alizarynowych barwików. Używa się ich w postaci pasty, a nie barwików.

Na specjalne wyróżnienie zasługują barwiki kadziowe, których jest nie wiele, a których najważniejszym przedstawicielem jest indygo naturalne i sztuczne, oraz preparaty t. zw. pasty indygowo-

Jest to najtrwalszy i najpiękniejszy barwik niebieski, przez długi czas nie dający się zastąpić żadnym sztucznym związkiem chemicznym. Dopiero w r. 1890 odkryto sposób otrzymania go sztucznie na drodze chemicznej, roślinne jednak indygo nie zostało do dziś zupełnie zastąpione. Farbowanie indygiem nadaje się specjalnie do batiku ze względu na to, że barwi się niem przeważnie na zimno i że raz przyrządzonej kąpieli można używać parę tygodni — przygotowanie jej jednak wymaga wprawy i wielkiej dokładności. Podręcznik Okołowicza zawiera bardzo szczegółowy przepis.

Warunki dobrego barwika dla batików są następujące:

1) powinien on barwić na zimno, lub w temperaturze najwyższej 25° C.

2) powinien być odpornym na pranie, t. j. nie rozpuszczać się w ciepłych mydlinach, sodzie, korzeniu mydlanym, benzynie i t. p.

3) powinien być odporny na światło słoneczne. Przemysł chemiczny niemiecki dostarcza gotowych barwików do batiku, barwiących bezpośrednio t. j. bez zapraw. Spotkałam się w literaturze o batiku z dziełkiem niemieckim Zimmermanna, chemi-

ka, prowadzącego farbiarstwo w szkole sztuki stosowanej w Barmen, który zestawił dla batiku cały szereg barwików bezpośrednich, na zimno farbiących, odpornych na zewnętrzne wpływy — z przepisami na gramy wyliczonemi dla każdego koloru osobno. Ponieważ polski batik nie miał jeszcze swego chemika, któryby wyszukał najodpowiedniejsze barwiki dla niego — ogół pań farbiących musi się posługiwać przygodnemi barwnikami o dziwacznych nazwach, które się kupuje w sklepach. Należy wybierać z nich w każdym razie te, które barwią na zimno i nie zaniebdywać zaprawiania alunem lub taniną, wiążącą materiały z barwikiem.

1) Barwików nie wsypuje się wprost do wody, lecz zawiązuje się je w woreczkach płóciennych i wkłada do gotującej wody, w której mają się zupełnie rozpuścić. Barwiki naturalne przygotowuje się w ten sam sposób — wygotowując związane w woreczku (najlepiej z pokrzywanego materiału).

2) Wodę do farbienia powinno się zmiekczyć, przegotowując ją z małą ilością sody; po ostudzeniu cząstki zanieczyszczone osiadają na dnie, wodę zaś zlewa się ostrożnie. Odnosi się to do wody wodociągowej, deszczówka jest sama przez się miękka.

3) Naczynia do farbowania powinny być emaljowane, czyste; używanie naczyń żelaznych, miedzianych, lub blaszanych może bardzo ujemnie wpływać na batik wskutek połączeń chemicznych, wytwarzających się pod wpływem wody, powietrza, lub barwiku. Stanowczo zaś nie do użycia są przy barwionym roślinnym, — przy których używa się tak silnych kwasów, jak kwas solny, lub siarkowy. Naczynia drewniane są niepraktyczne z tego względu, że nasiakają barwnikami i bruczą potem jaśniejsze kąpiele. Co do objętości powinny być płaskie, bądź też dość głębokie — by tkaniny nie miać, lecz swobodnie móc ją rozłożyć, czy zawiesić.

4) O tem, że materiał w kąpieli farbiarskiej nieustannie się musi poruszać, wie każdy, kto raz przynajmniej w życiu farbował. Jeśli się tego zaniedba, na tkaninie powstaną pasy, plamy i smugi. By oszczędzić rąk i nie dotykać palcami batiku, praktycznie jest zaopatrzyć rogi jego w sznurki, lub tasiemki, za które się wkłada, porusza, wyjmuje i wieszka materiał.

5) Ręce należy myć często i utrzymywać czysto, — gdyż tłuszcz i pot z rąk powoduje wyskakiwanie plam na ufarbionym batiku.

6) Wosk z ufarbionego batiku usuwa się bądź przez wyprasowanie przez bibułę ¹⁾ (resztę trzeba usunąć przez wypłókanie w benzynie), bądź przez pranie w benzynie ²⁾, co się stosuje przedewszystkiem przy batikach na jedwabiu. Batik na płótnie lnianem, lub materiale bawełnianym można wygotować w mydlinach i przeprać z mydłem. Będzie to próbą dla barwika; „ponieważ puszczanie“ barwika byłoby bolesnym zawodem po wykonaniu takiej dużej pracy, robi się przed włożeniem batiku próby na luźnych, niezapisanych, a zaprawionych kawałkach materiału,

¹⁾ Lepiej nadaje się papier bibulasty, gdyż włoskie bibuły przylepiają się do batiku i zanieczyszczają go.

²⁾ Wosk w benzynie zmywa się mięką szcztoteczką; po wymyciu pierwszej partji — resztę wypłukuje się przez poruszenie batiku w drugiej czystej benzynie.

które się barwi, suszy, pierze, wygotowuje i t. p., obserwując wszystkie zmiany. (Odcina się po każdej czynności skrawek jako próbkę).

7) Próbę na światło można przeprowadzić również samemu: dzieli się w tym celu kawałek ufarbionej materji na dwie części. Jedną się chowa, drugą zaś wystawia na działanie słońca. Oczywiście najbardziej miarodajnym jest letnie słońce od maja do września, działające od południowej strony przez szybę. Jeśli po paru tygodniach takiej próby oba

kawałki tkaniny będą takie same, lub przynajmniej bardzo podobne, barwik wytrzymał dobrze próbę.

8) Dla nadania połysku i sztywności batikowi można dodać do kąpeli farbiarskiej (chemicznej) trochę lekkiego krochmalu ryżowego.

Lepiej jest jednak sporządzić po ufarbieniu rodzaj apretury, rozpuszczając 30 gr. gummy arabskiej w $\frac{1}{2}$ litrze wody i zwilżając tym rozczynem zapończoną gąbkę batik, poczem prasuje się go przez mocny, nie włoskowaty papier.

Marja Zawadzka.

REFORMA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

OGNISSKO DOMOWE W TERAŹNIEJSZOŚCI I PRZYSZŁOŚCI.

[Home, sweet, home]

Własny dom, lub jako minimum, mieszkanie dostosowane do potrzeb indywidualnych, to więcej, niż zaspokojenie wymogów higieny—to *conditio sine qua non* moralnego zdowia, konsolidacji współżycia między członkami rodziny, oraz stymuł rozwoju intelektualnego, etycznego i estetycznego. Daje on poczucie niezależności i spokoju, przeciwwagę do gorączkowego tempa współczesnego życia, tem niezbędniejszą, im bardziej dana jednostka wyteża swe siły umysłowe i fizyczne. Dlatego też Amerykanie, znani ze swej zdolności do intensywnej pracy, stworzyli na szerszą jeszcze skalę, niż Anglii, typ podmiejskich osiedli, do których zdążają codziennie tłumy mężczyzn i kobiet, by wśród zieleni, sielskich rozrywek i zajęć odpocząć w zupełnem oderwaniu od wielkomiejskiego zgiełku.¹⁾

I jeszcze jedno: coraz cięższa walka o byt prowadzi, jak wiadomo do wzrastającej specjalizacji i wynikającej stąd jednostronności. Rozwój sportów, odrodzenie się kultury ciała stanowi pod jednym względem środek zaradczy przeciwko grożącemu przekształceniu się ludzi w sprawnie funkcjonujące zawodowe automaty. Ale to nie dosyć. Wiemy z codziennej obserwacji, że najlepszym środkiem konserwującym młodość jest kulturowanie rozlicznych talencików, t. zw. przez Niemców „*Fertigkeiten*“, a najbardziej postarza zasklepienie się w pracy zawodowej. Dom nastrożca tysiączne możliwości każdemu, kto posiada pewne uzdolnienia rękodzielnicze, artystyczne, organizatorskie. Sprawa ta przedstawia specjalną wagę dla kobiet nowoczesnych. Wiele z pośród nich musi wyrzec się pracy poza domem, po ślubie lub po przyjściu na świat dzieci, czy to dla braku zdrowia lub czasu, czy też dlatego, że oddając się zajęciom domowym zaoszczędzą więcej, niżby zarobiły w swym zawodzie. Kobiety te nieraz dotkliwie odczuwają pustkę, wynikłą z zamiany intensywnej różnorodnej działalności dotychczasowej na monotonne czynności gospodarskie. A dom obecny, że się tak wyrażę „szczętkowy“, nie daje jej niemal zupełnie pokarmu duchowego—pozbawiony jest bowiem tej poezji, która krasila dawniej kobiecie jej szare, jednostajne życie. Na ten brak treści reaguje kobieta zwłaszcza w późniejszym wieku, gdy mąż i podrastające dzieci nie

absorbują jej już całkowicie i nadmiar energii i uzdolnień skazany jest na powolne zamieranie, o ile dana jednostka nie może powrócić do dawnego zawodu, a nie posiada upodobań do działalności na szerszej arenie.

Nie chciałabym, by mnie źle rozumiano. Nic nie jest dalszem odemnie, jak chęć zwrócenia wstecz naturalnego biegu ewolucji. Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia... Minęły już bezpowrotnie czasy, gdy tkano, szyto, pieczono w domu, gdy był on samowystarczalnym organizmem gospodarczym. Jak to ciekawie przedstawił znany ekonomista niemiecki Bücher w jednym ze swych studjów, coraz to nowa gałąź pracy wychodzi poza obręb domu i staje się przedmiotem specjalnego fachu. Ale nawet na najwyższym szczeblu nowoczesnej organizacji dają się zauważyć dwa typy organizacji codziennego życia: jeden — łaciński — przenosi punkt ciężkości egzystencji współczesnego człowieka na ulicę, co należy zapewne w znacznej mierze przypisać właściwościom klimatu Francji i południowej Europy; drugi—anglo saksońsko-germański uważa ognisko domowe za ośrodek kultury i poświęca mu znacznie większą uwagę, niż poprzedni. Wynika stąd, zdawałoby się pewien uszczerbek w sumie energii, skierowanych ku działalności pozadomowej. Ale — i na tę stronę zagadnienia pragnę położyć specjalny nacisk — ponieważ zachodzi coraz większa konieczność pracy zarobkowej kobiet, mogących w rzadkich wypadkach poświęcić się wyłącznie gospodarstwu — życie szuka i znajduje możność pogodzenia tendencji północnych narodów z nieubłaganymi wymogami walki o byt. I stąd to paradoksalne napozór zjawisko, iż w krajach łacińskich, gdzie higiena a i estetyka mieszkaniowa pozostawiają nader wiele do życzenia, gospodarstwo zajmuje gros czasu kobiety, podczas gdy jej siostra Anglo-Saksonka, organizująca idealnie własny dom, bierze jednocześnie żywszy udział w życiu publicznym. Zawdzięcza ona ten sukces technice, która zredukowała kilkakrotnie trwanie zajęć gospodarskich. Zarazem mężczyzna konstatawał, że praca w domu i ogrodzie stanowi korzystny korelatyw pracy zarobkowej i przejął na swe barki część kłopotów kobiety.

Daje się ostatnio zauważyć ewolucja odwrotna do opisanej przez Büchera. Pewne zatrudnienia powracają znów do domu, odkąd przedstawia to ekonomję czasu i pieniędzy. Analogiczne zjawisko widzimy zresztą w przemyśle. Wiek pary stworzył fabrykę, jako niewątpliwy postęp [w stosunku do skostniałej organizacji cechowej. Wszelkie próby sztucznego odrodzenia rzemiosła były reakcyjne

¹⁾ W Ameryce tego rodzaju osady specjalizują się, np. pod Buffalo powstało miasteczko, zamieszkałe wyłącznie przez pisarzy, artystów, społeczników i t. p., którzy tym sposobem znajdują w kraju *business'u* oazę intelektualizmu.

w swej istocie i musiały, pominawszy nieliczne gałęzie wykwalifikowanego rękodzielnictwa, spełznąć na niczem. Praca domowa istniała tylko w formie chałupnictwa wraz z jego nieodstępnym towarzyszem—„sweating system”. Wiek elektryczności pozwala na zakładanie po domach robotniczych małych motorków i na powrót, w wielu wypadkach, do idyllicznych stosunków średniowiecza (praca w kółku rodzinnem, tak ważna przedewszystkiem dla kobiety, swoboda większa, niż w fabryce) przy utrzymaniu najwyższego poziomu technicznego i wysokich zarobków. Przemysł jedwabniczy w Ljonie w dużej mierze stosuje ten nowy typ organizacyjny. Podobnie w zakresie gospodarstwa to, co kilkanaście lat temu było krokiem wstecz, dziś staje się reformą. Żeby operować konkretnymi przykładami. Pranie w domu bielizny zawsze było udręką (wielkie pranie mamy Malinowskiej!) — w obecnych szczupłych mieszkaniach jest wprost niemożliwe. Dlatego oddawanie bielizny do pralni było i jest bezwarunkowo racjonalniejsze. Lecz z chwilą pojawienia się coraz to doskonalszych pralek, magli, żelazek, uruchomionych zapomocą gazu, lub elektryczności, gór praktycznie urządzonych i t. p., okazuje się nieraz, że lepiej się opłaca pranie dla jednej, lub paru rodzin (wspólna pralnia domowa), przyczem można osobiście dopilnować, aby użyto maszyn, nie niszczących bielizny, oraz odpowiednich mydeł i bielidła. Ale w tej „modern” postaci nie będzie już ono synonimem gorączkowego nastroju i zdenerwowania, smaku mydła w potrawach, sznurów, porozwieszanych w salonie. Tak samo, jak „gruntowne sprzątanie” w wieku elektrycznych wysysaczy kurzu i szczotek do froterowania niekoniecznie musi ciągnąć za sobą przewracanie domu do góry no-

gami i awantury z policją o trzepanie dywanów. Podkreślam raz jeszcze — nie jest w mojem pojęciu wzorem kobiety ta, która poświęca wszystkie swe siły domowi i przestaje z braku czasu pracować nad sobą, wypełniać obowiązki żony — towarzyski męża, matki — wychowawczyni i obywatelki. Lecz — ze względu na to, iż dotychczasowa linja rozwojowa Polski i klimat nasz dowodzą, że winna ona pójść i pójdzie raczej śladem państw anglosaksońskich — dążyć należy do świadomej akcji, mającej na celu modernizację, a jednocześnie odrodzenie życia domowego, jego — że się tak wyrażę, intelektualizowanie. A droga ku temu, jak staram się wykazać w moich artykułach, daje się krótko zaznaczyć: więcej zastanowienia — mniej bezmyślności, więcej odwagi i inicjatywy — mniej rutyny.

Wprawdzie swoboda ruchów jest przez to utrudniona, że zbudowanie sobie własnego domu jest dla większości naszych obywateli nieziszczalną chimera. Wyjątek stanowią ci, którzy należą do rozpowszechniających się dość szybko kooperatyw mieszkaniowych. W społeczeństwach szczęśliwszych, jak w Ameryce, Anglii, lub Belgji, gdzie regułą jest jednorodzinny dom, istnieje szerokie pole dla wprowadzania wszelkich ulepszeń w zakresie budownictwa i wnętrza. Ale czyż powinniśmy opuścić ręce, dlatego że zmuszeni jesteśmy pracować w gorszych, aniżeli inne narody, warunkach?

Mierz siły na zamiary... Naród polski, będący żywym stwierdzeniem faktu, iż romantyzm okazuje się na dalszą metę niejednokrotnie bardziej przewidujący od „zdrowego rozsądku” polityków, zdoła niechybnie, w myśl wiekowych tradycji, stworzyć zdrowe i piękne kadry dla swego życia rodzinnego.

Felicja Sachsówna.

ZWYCZAJE WIGILIJNE NA ŚLĄSKU

W myśl artykułu p. Elżbiety umieszczonego w numerze świątecznym otrzymaliśmy z Górnego Śląska podaną poniżej korespondencję p. B. Szymkowiakówny, posłanki na Sejm (przyp. red.)

Na Śląsku utrzymały się tradycyjne zwyczaje wigilijne obchodzone z wielką uroczystością, powagą i skupieniem. Pani domu, gospodyni wraz ze służbą krząta się już od rana, by przystroić pięknie dom, ubrać choinkę i przygotować tradycyjną wieszę, składającą się obowiązkowo z 7 - 9 potraw.

W wieczór wigilijny — gdy pierwsza gwiazdka na niebie zaświeci — w izbie około stołu przy żarzącej się choince zgromadza się i zasiada cała rodzina wraz ze służbą. Na Śląsku na stole wigilijnym palą się świece podczas wieszę. Stół biało nakryty — a pod obrusem usłane jest siano, albo słoma na znak, że „Dzieciątko” narodziło się w ubogiej stajence. Słomą tą później gospodarze okręcają drzewa owocowe — aby rok obfitował w dobry owoc.

Wszyscy pilnie baczą — aby do wieszę wigilijnej zasiąść w liczbie parzystej. Istnieje bowiem przesąd, że w razie nieparzystej liczby — ktoś z obecnych w przeciągu roku umrze.

Zwyczaj łamania się opłatkiem i składania sobie życzeń utrzymuje się w staropolskich rodzinach, a zaprowadza się obecnie w każdej rodzinie na Śląsku.

Potrawy wigilijne są obfite, lecz proste, niewyszukane.

Tradycyjną na Śląsku, zwłaszcza Górnym, jest zupa, sporządzona z konopi, t. zw. „siemieniątka”, którą podaje się wraz z kaszą tatarską. W niektórych domach tylko zamiast siemieniutki podają zupę grzybową, lub owocową z kluseczkami.

Z ryb najczęściej zjawia się na stole wigilijnym karp pieczony, albo gotowany. Na wsi jednakże zwłaszcza w okolicach rolniczych podają ryby bardzo rzadko przy wieszę wigilijnej.

Potem idą kartofelki, kwaśna kapusta z grzybkami, makówki, (zrobione z bułki, słodzone cukrem lub miodem, polane mlekiem i gęsto osypane makiem). Kluski z miodem, kompot ze śliwek, jabłka i t. d.

Po wieszę — w czasie której ro mowa toczy się poważnie o dawnych dziejach i zwyczajach — obdziela matka domowników, dzieci i służbę piernikami, orzechami i cukierkami. W cieszyńskiej części Śląska jest zwyczaj, że każdy otrzymuje, po czterech orzechy na znak czterech pór w roku. Otwiera się je po kolei. Znamienują one jakie będą pory roku, dobre, czy złe.

Dzieci odbierają podarunki gwiazdkowe od gwiazdora, który oznajmia swoje przybycie głośnym dzwonkiem.

Ma długą, białą brodę, długi kij i dźwiga wielki wór z podarunkami na plecach. Poprzednio wypytuje jednakże, czy dzieci są dobre, grzeczne, posłuszne, czy się dobrze uczą i mówią paciorem. Po krótkim egzaminie dopiero obdarza — także i dorosłych.

Panuje również zwyczaj, że niewidzialne „Dzieciątka“ podkłada pod choinkę podarki gwiazdkowe.

Ozdoby choinkowe na Śląsku są już przeważnie polskie. Wycinanki z kolorowego papieru, łańcuszki, ozdoby z skorup jajkowych i z pierza, wykonywają pracowite rączki naszej młodzieży, wypierając prawie zupełnie niemiecką tandetę.

Po obdarowaniu zbierają się wszyscy przy choince (gaiku) i wspólnie śpiewają przepiękne nasze kolendy.

Młodzież, zwłaszcza dziewczęta, wybiegają przed dom, by usłyszeć z której strony dochodzi ich szcze-

kanie psów — albowiem to uważają za wróżbę, z której strony przyjdą swaty.

Należy jednak zganić zwyczaj, który na Śląsku zaprowadzili Niemcy, wzgl. Austriacy, t. j. strzelanie w powietrze z rewolwerów „na wiwat“.

Barbarzyński jest przesąd — pozostały po Niemcach, który każe w dzień wigilijny już od rana „zalewać robaka“. Ma to miejsce w okręgu przemysłowym i polega na picu wielkiej ilości wódki. Rzeczono w niej utopią się wszystkie troski i frasunki, które mają nawiedzić i gnębić danego osobnika w przeciągu roku. Jest to zwyczaj, który z całą stanowczością tępić należy.

Z chwilą objęcia władzy na Śląsku przez Polskę — odbywają się w kościołach katolickich o północy pasterki — na które wierni dążą gromadnie.

Dawniej chodzili na „Jutrznie“. Tak nazywa się pierwsza msza św. odprawiana w pierwsze święto Bożego Narodzenia.

Bronisława Szymkowiakówna.

BRAK KURZU W MIESZKANIACH JEST WARUNKIEM ZDROWIA

Każda gospodyni wie, ile trudu i zachodu kosztuje codzienne utrzymanie czystości i porządku w mieszkaniu, — i każda wie zapewne jak niedostateczne rezultaty daje zwykle sprzątanie. Dlatego też parę razy do roku robimy generalne porządki — wynajmując przygodną pomoc i wytrącając dom cały z normalnego trybu życia. Okna otwarte naoszczędz, obiad spóźniony, kilka zwykle najcenniejszych przedmiotów złamanych, zimno i świeżo wszędzie. Gdyby jednak pani domu wiedziała, ile kurzu zostało się jeszcze w czyszczonych i trzepanych sprzętach — rozpacz ogarnęłaby ją na myśl o tak wielkiej, a na próżno podjętej pracy.

Higieniści obliczyli, że jeżeli przed sprzątaniami w pokoju jeden metr kubiczny zawiera tylko około 2.200 bakterij, po takim sprzątanii, ilość bakterij zwiększa się do 135.000 w tejże objętości powietrza. — Cały kurz podniesiony przez sprzątanie pozostaje w powietrzu kilka godzin, by znów osiąść na naszych płucach — i otaczających nas przedmiotach.

Oddawna myślano o zapobieżeniu tej sprawie przez wynalezienie przyrządu do usuwania kurzu z mieszkań, do niedawna jednak starania przedsiębrane w tym kierunku nie były uwieńczone pomyslnym skutkiem. Odkurzacze wymagały skomplikowanej obsługi, zebrany w nich kurz łatwo się wysypywał i odkurzacz kończył najczęściej swój żywot porzucony w jakimś zakamarku mieszkania i ustępował miejsca zwykłej miotłce i sicerce.

I oto kilka lat temu gro- no szwedzkich inżynierów, z laureatem Nobla inż. Dalenem na czele, mając jako podstawę gotowy już model motoru elektrycznego, przystąpiło do skonstruowania przyrządu, któryby

przy pomocy elektryczności dawał czystość. Krok za krokiem szła praca: najpierw umieszczono worek wewnątrz aparatu i zamknięto go szczelnie — następnie usunięto kółka i umieszczono aparat na sanceczkach, by się łatwo przenosił z miejsca na miejsce.

Aparat zmniejszono do takich rozmiarów, aby można było go trzymać podczas operowania w ręku, nie zapomniano też o rzemieniu, by móc pracować nim, stojąc na drabinie, gdy zażądzie tego potrzeba. Dobór idealnych wprost wchłaniaczy i przyrządów do czyszczenia przedmiotów twardych i miękkich, i na koniec dezynfektor do odświeżania powietrza i niszczenia bakterij, ukoronował po długoletnich wysiłkach pracę i tak powstał aparat do elektrycznego czyszczenia, czyli tak zwany ELECTROLUX, którym nawet dziecko, nie mówiąc już o służącej, może operować.

Według zaświadczenia Muncypalnego Laboratorium w Paryżu, Elektrolux tępi 99,99% bakterij, znajdujących się w kurzu — a koszt używania jest minimalny, bo wynosi tylko 15 groszy na godzinę.

Aparat wystarcza na 20 lat i przez ten czas nie wymaga żadnych reperacyj, lub zmian, gdyż materiał, z którego ELECTROLUX jest zbudowany, jest trwały i solidny. Konserwacja jego jest nieskomplikowana. Raz na miesiąc wystarcza wpuścić kilka kropli oliwy w dwa tylko otwory. Że wy-

silek wynalazców nie poszedł na darmo, świadczy najlepiej fakt, że fabryka Electrolux w Stockholmie produkuje obecnie około 1500 sztuk odkurzaczy dziennie, i że niema kraju na globie ziemskim, w którymby firma Electrolux nie miała swych własnych oddziałów, dzięki czemu dociera do konsumentów, unikając kosztownego pośrednictwa.



PRZEPISY GOSPODARSKIE

INDYK DUSZONY.

Gdy zimą kupujemy drób bity, zamrożony mocno, nieraz się zdarzyć może, że nie rozpoznamy starszej sztuki, i po odmarznięciu i dokładnem obeirzeniu, okaże się, że nie jest ona już zdatna na pieczone. Oczywiście, można ją użyć zawsze na rosół i na potrawkę. Ponieważ jednak w dzisiejszych ciężkich czasach, kupno indyka jest dużym wydatkiem, lepiej jest móc go zużytkować na pieczone, — tylko zamiast pieczenia go pod blachą, należy go udusić w rondlu. Jeżeli się zabrać do tego z należytem staraniem i umiejętnością, pieczone będzie również dobre w smaku. Po oczyszczeniu, opaleniu i wypaproszeniu indyka odcina mu się nogi, skrzydła do przedostatniego stawu, głowę i używa wraz z sercem i żółtkiem na smaczny rosół. Wątróbkę mielona miesza się z filiżanką tartej bułki, dużem jajkiem, łyżką masła surowego, łyżką kopru, odrobiną soli—kto woli nadzieńnie słodkie, może zamiast kopru włożyć garść rodzerek i wsypać dwie łyżki cukru. Farszem tym nadziewa się wole indyka, zaszywa się mocno grubymi niciami, soli zewnątrz i wewnątrz, zawija cienkimi plasterkami młodej słoniny, związuje zgrabnie rumieni z wszystkich stron na blasze, lub pod blachą, poczem wkłada w duży rondel i dusi, wciąż podlewając rosółem, lub wodą, zależnie od rozmiaru sztuki od dwóch do trzech i pół godzin. Gdy mięso indyka zupełnie zmięknie, zdejmuje się z niego ścinę, kraje, jak pieczonego indyka i polewa wyduszoną z sosem, lub też sos ten podaje osobno. Nawet stare sztuki tak przyrządzone są kruche i smaczne.

KOTLETY Z KURY.

Starsze kury, lub koguty, niezdatne już na pieczone, można użyć na smaczne kotlety. Mięso z kury starannie obrać z kości, podróbki, skórę i kości użyć na rosół z ryżem, lub kluskami, gdyby rosół był zbyt chudy, włożyć na dogotowaniu niedużą łyżkę śmietankowego masła. Na mięso z jednej kury, namoczyć w mleku trzy bułeczki—warszawianki, dobrze rozmoczone, nie wyciskając z mleka, przepuścić dwa razy przez maszynkę wraz z mięsem z kury, włożyć łyżkę masła surowego, latem łyżeczkę zielonego kopru, zimą nieco gałki muszkatełowej, dwa żółtka, soli do smaku, wyrobić mocno, aż się masa stanie gładka, włożyć dwa białka ubite na sztywną pianę. Na stolnicy mieszać bułeczkę po połowie z mąką, brać dużą łyżkę masy mięsnej, kłaść ją na bułeczkę, prędko nadawać kształt kotleta, masa powinna być zupełnie wolna, jeżeli kotlety mają być delikatne, i smażyć na obficie rozpuszczonem maśle, lub szmalcu. Podawać z garniturem ze szpinaku, brukselki, lub marchewki. Wszelkie zielone sałaty i makaron odgotowany są też do tych kotletów odpowiednim dodatkiem.

JABŁKA Z WANILJOWYM SOSEM.

Na sześć osób obrać cienko dwanaście niedużych kwaskowych jabłek, wyjąć środki łyżeczką, ugotować w ocukrzanej nieco wodzie, wyłożyć na salaterkę (bez syropu), włożyć w każde małą łyżeczkę jakichś konfitur. Trzy żółtka utrzeć do białości z trzema ćwierciami szklanki cukru. Dwie szklanki dobrego mleka, lub niegęstej śmietanki zagotować z całowym kawałkiem wanilii, zmieszać

z masą żółtkową, ogrzewać, ubijając trzepaczką, na wolnym ogniu, aż się sos dobrze zaciągnie, uważając, aby się nie zagotował, i nie zwarzył. Zalać tym sosem jabłka i postawić na chłodzie do zupełnego wystudzenia.

SAGO Z PIANKĄ.

30 deka dobrego sago ugotować, aż się stanie przezroczyste, zlać na durszlak gęsty, lub sito, przelać zimną wodą, włożyć napowrót w rondel, wlać szklankę jakiegobądź wina, szklankę cukru i nieco otartej skórki cytrynowej, poddusić razem. Ułożyć zgrabnie na metalowym półmisku, ubrać jakimikolwiek konfiturami. Z trzech białek ubić sztywną pianę, mieszać z dwiema łyżkami cukru (pudru), pokryć tą pianą wystygłe zupełnie sago, ukarbować zręcznie wilgotną łyżeczką, osypać kryształem i wstawić na kwadrans w piec dla zrumienienia. Manipulacje z pianą trzeba robić bardzo prędko, aby nie opadła przed wstawieniem w piec. Podaje się też wprost z pieca, aby rumiana pianą nie opadła.

KASZKA NA ZIMNO Z KREMEM.

Szklankę krakowskiej, drobnej kaszki, (tak zwanego maczku), przetrzeć jajkiem i wysuszyć. Zagotować trzy szklanki mleka, wsypać kaszkę i gotować aż się stanie zupełnie gęsta, wyłożyć na półmisek i zastudzić. Utłuc szklankę cukru z kawałkiem wanilii. Przed podaniem utrzeć kaszkę na tarce i ułożyć ją w zgrabną kopułę na półmisku, przesypując cukrem z wanilią. Ubić kwaterkę kremowej śmietanki na gęstą pianę, dodać drugą połowę waniljowego cukru i tym kremem pokryć kaszkę. Ubrać konfiturami, lub poleć jakim sokiem i natychmiast podawać, aby krem nie zwodniał.

SUCHARKI ŁATWE I NIEKOSZTOWNE.

Pół kilo mąki pszennej, 1 jajko, łyżeczka soli, szklanka słodkiej śmietanki, duża łyżka masła, filiżanka cukru, 2 łyty drożdży, odrobina kwiatu muszkatełowego, lub nieco cytrynowej skórki dla zapachu. Śmietankę zagrzać, rozpuścić w niej masło, drożdże rozczynić oddzielnie w paru łyżkach ledwie letniej śmietanki, rozczynić z połową mąki i dać podrosnąć. Skoro podejście dodać cukier, skórę, lub kwiat, i drugą połowę mąki, wymiesić dobrze, aż od ręki odstanie, dać podejść powtórnie. Stolnicę posypać mąką, wyłożyć ciasto, rozwałkować na grubość małego palca, posmarować topionem masłem i włożyć na połowę. Wykrajać dużym kieliszkiem bułeczki, układać na blasze i dać jeszcze raz podrosnąć, posmarować rozbitym jajkiem i upiec w średnio gorącym piecu. Gdy są gotowe, rozłamać na połowę (będą się doskonale rozdzielały), ułożyć napowrót na blachę i ususzyć w letnim piecu.

DOBRE RADY

Indyka, lub kurę zamiast opalać nad słomą—należy położyć na półmisku, nalać okowity—zapalić, a całe opalą się z włosów i skruszeją nieco.

* * *

Klawiaturą dla uchronienia jej od kurzu — nakryć kawałkiem podwatowanej materji. Klawisze czyścić flanelą, maczaną w kredzie rozrobionej oliwą. Jak wyschną, starannie wytrzeć czystym gałgankiem,

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani J. B. w Toruniu.

Osnowę i wełnę dostanie Sz. Pani w Warszawie—w firmie St. Wegenko, Krucza Nr. 24. Po łajemy często w „Bluszczu” desenie kilimów i dywanów, powiększyć je łatwo można, przenosząc na większą kratkę. O desenie niech się Sz. Pani zwróci do szkoły Pani Onichimowskiej, Krucza 19.

Pani J. Z. w Bieczynie.

Żądany sposób robienia tiulu „Tosca” podaliśmy w Nr. 50 „Bluszczu”. O ile la na szerniała, nic jej nie powróci świeżości—można spróbować na kawałku wytrzeć miłą kredą, lub sproszkowaną magnezją, następnie dobrze wytrzeć i oczyścić.

Pani W. B. w Chrustowie.

Podlinkę pod kołdrę trzeba dopasować do kołdry i przypinać ją guziki. Haft Richelieu nie używa się do bielizny jako bardzo niepraktyczny w praniu—trzeba zrobić wykłady cieńsze niż podpinka, dopasować z przodu do guzików i wyhaftować haftem angielskim, lub ozdobić mereżką. Bawełny używa się płaskiej D. M. Rysunek na serwetki kosztować będzie 75 gr., pieniądze zechce Pani nadesłać pod adresem „Bluszczu”, a wzory natychmiast wysłamy.

Pani K. Z. Choroszcz.

Depilatorjum nadesła Szanownej Pani za zaliczeniem pocztowym skład apteczny Brudnickiego, Krucza Nr. 34.

Pani H. K. z Rudnik.

O hodowli jedwabników i sadzeniu drzew morowych wskazówki zamieścimy wkrótce w „Bluszczu”.

Prenumerotorce ze Słupcy.

Zamsz czyści się specjalną drucianą szczoteczka, którą szczotkuje się pod włos miejsca posmoleone i zniszczone. Oprócz tego naciera się całej bućki kamieniem w kolorze zamszu, kupuje go się w składach aptecznych. Z czyszczeniem benzyną trzeba być ostrożnym, bo zacieka i zmienia kolor.

Stałej prenumerotorce z Wadowic.

Białe swetry pierze się w rozpuszczonym w gorącej wodzie, a następnie w zupełnie ostudzonym mydle „Lux”, suszy się bez płókania i wyżymania—rozkłada na stole nakrytym prześcieradłem, nadaje odpowiednią formę i zostawia w spokoju, aż do wyschnięcia

Na węgry trzeba myć twarz gorącą wodą mydłem alkalicznym Nr. 2 Karpińskiego, dwa razy wyciera się twarz dwuproc. centowym spirytusem salicylowym i pudruje pudrem ryżowym.

SHAMPOO-FALK
CZYSZCI I UPIĘKSZA WŁOSY
FALKIEWICZ - FABRYKA PERFUM I KOSMETYKÓW - POZNAŃ

PIERWSZY KONKURS „BLUSZCZU”

Przypominamy, że na pierwszy konkurs stosownie do warunków podanych w Nr 51-52 r. z. składają się trzy zadania, umieszczone w trzech kolejnych numerach „Bluszczu”, poczynając od numeru 51-52. Za rozwiązanie każdego zadania liczyć się będzie odpowiednia ilość punktów. Za ładne rysunkowe, nadające się do druku (wykonane tuszem na białym papierze) rozwiązanie krzyżówki, lub za zręczne wierszowane rozwiązanie szarady—dodatkowo 10 punktów, przyczem najlepsze rozwiązanie szarady będą drukowane. Za użyciem innych wyrazów—mogą Czytelniczki zdobyć dodatkowo 15 punktów. Dla tych, które osiągną kolejno największą ilość punktów, przeznaczamy następujące nagrody: 1. Serwis do czarnej kawy. 2. Rozpoczętą robotę (poduszkę lub serwetkę) wraz ze wszystkimi dodatkami. 3. Kwartalną prenumeratę „Bluszczu”. Rozwiązanie nadsyłać należy w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru pod adresem Adm. „Bluszczu”, Krak. Przedm. 99, „Dział rozrywek umysłowych” z dołączeniem podanego niżej kuponu.

2.

S Z A R A D A

za rozwiązanie 15 punktów

Wieszcz odszedł... ale po nim zostały Popioły i dzieje strasznych zwątpień, jakie przez I CALY... Równie moskiewskie jak i PIERWSZE-SZÓSTE szkoły, wyrwały z naszej duszy wiarę w ideały, a bez tej wiary człowiek, tak jak PIĄTA-CZWARTA bez wody, ginie; na nic frazesy i doktryna, kiedy serce jest puste, jak beczka otwarta, w której już nie ma kropli szlachetnego wina. CALY nie umiał w Polsce znaleźć ideału, ze zwątpieniem się nie brał DRUGIE-CZWARTE-TRZECIE, więc po pochyłej równi stoczył się pomału, a wiosna wszak dla niego nie błysnie już przecie...

DRUGI KUPON

do przesłania wraz z rozwiązaniem krzyżówki.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 1

1. Suknia ślubna z fulgurantem, lub crêpe de chine'u
2. Suknia z bladobłękitnego jedwabiu przybrana szenszylami i haftem ze srebrnych pacioreczków. Balowe okrycie z aksamitu rubinowego — kołnierz z białego lisa.
3. Suknia z crêpe de chine'u bois de rose — haft złoty.
4. Suknia z jedwabiu rezedowego — z aksamitką ciemniejszą, różyczki różowe.
5. Suknia z czarnej georgette'y z koronką czarną haftowaną złotem.
6. Suknia z jedwabiu lila w dwóch cieniach — haft i pętelki złote.
7. Palto z szarego zamszu — kołnierz i mankiety fokowe.
8. Palto z brązowego kasha przybrane futrem tygrysiem.
9. Palto ciemno zielone przybrane skunksami.
10. Palto sportowe z angielskiej wełny — pas skórzany.
11. Bluzka z sukienką jasnobronzowego przybrana haftowanym szlaczkiem ciemno brązowym.
12. Bluzka z wełny w kratę i gładkiego sukienka.
13. Bluzka z popeliny, koloru parme przybrana pasami z tego samego materiału, układanego w fałdki.
14. Matynka z crêpe de chine'u różowego przybrana haftem
15. Szlafrok z sukienką fraise przybrany guzikami.
16. Szlak do wysycia na sukni — haft kolorowy, wielkość naturalna.
17. Wzór na poduszkę — haft richelieu.

NIE WYRZUCAJMY PIENIĘDZY NA OBCE ZAGRA-
NICZNE WYDAWNICTWA — SKORO MAMY SWOJE
CONAJMNIJ RÓWNIIE DOBRE!

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do naj-
skromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagra-
nicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty,
bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

ZBIÓR TEN JEST NIEZBĘDNY
W KAŻDYM OSZCZĘDNYM I RZĄDNYM
DOMU

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU”
(ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena na-
szego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy prze-
kazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu
1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

ZAWIADAMIAMY SZ. PANIE PRENUMERATORKI

ŻE SĄ DO NABYCIA W ADMINISTRACJI

DOŁĄCZANE DO „BLUSZCZU” ZA CZAS UBIEGŁY

ARKUSZE WZORÓW

ROBÓT RĘCZNYCH NATURALNEJ WIELKOŚCI

(do kopjowania)

ARKUSZE TE MOŻNA NABYĆ W CENIE 30 GROSZY ZA ARKUSZ, Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ ZWYKŁĄ 35 GROSZY, POLECONĄ 60 GROSZY.



ODORONO

IDEAL-ny amerykański środek zapobiegający POCENIU się usuwający całkowicie WON potu. Nieodzowny dla każdej

KOBIETY

gdyż chroni toalety od plam potu. Nieszkodliwy dla zdrowia. Żądać we wszystkich perfumerjach i drogerjach.

Jen. Przedst. D.H/K. SAIR.
Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 2.
Telef. 187-99.

PIERZE ^{puch i} ^{pościel} „PUCH” W. ŻAK

HURT DETAL

Handel pierzem. Mechaniczne czyszczenie pierza.
Poznań, Wroniecka 24 tel. 37-71

Wzory do haftu, monogramy, gotowe roboty i dodatki, poleca w dużym wyborze sklep galanteryjno-norymberski

JADWIGA DOBERSKA

Warszawa,

Szpitalna 8

Chorzy!

Używajcie tylko pewne i wypróbowane środki.

Chorzy!

Tysiące ludzi chronicznie chorych uzdrowiły znane od 1602 roku

REFORMACKIE

pigułki z m. Zakonnik



Zalecane przez powagi lekarskie REFORMACKIE pigułki z m. zakonnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia ŻOŁĄDKOWE, cierpienia NEREK, cierpienia WĄTROBY, KAMIEŃ ŹŁCZOWY, cierpienia HEMOROIDALNE, REUMATYZM, ARTRETYZM, bóle GŁOWY, WYRZUTY I LISZAJE, pobudzają TRAWIENIE, APETYT i przy skłonnościach do OBSTRUKCJI są niezastąpionym środkiem PRZECZYSZCZAJĄCYM.

Użycie 1 do 2 pigulek na noc. — Cena pud. zł. 1.00
Wyrobu apteki KARCZEWSKI-TUSZYŃSKI Warszawa, Trębacka 4
Żądać w aptekach i składach z Zakonnikiem

STEFAN KAŁAMAJSKI

POZNAŃ, PL. WOLNOŚCI 6.

TORUŃ, UL. SZEROKA 21.

POLECA

OBSADY, KORONKI, WSZELKIE PRZYBORY DO KRAWIECCZYZNY, WSTAŻKI, ŻABOTY, KOŁNIERZE, BLUZKI, GORSETY, BIELIŻNE, TRYKOTY, POŃCZOCHY, KAMASZE (GETRY), RĘKAWICZKI, ŻAKIETY WEŁNIANE I JEDWABNE, FARTUCHY, ROBÓTKI, ARTYKUŁY
ZAKOPIAŃSKIE ORAZ MODNE DROBIAZGI DLA PAŃ.

WIELKI WYBÓR ŻURNALI

konfekcji damskiej, dziecięcej bielizny i t. d. wraz z krojami oraz podręczniki wszelkich robót ręcznych i wzory do odprasowania.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi

Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14.40, miesięcznie—4.80.
Zagranicą: miesięcznie—8 zł. Zmiana adresu 30 gr

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.
Telefon Nr 239-40

Konto czekowe P. K. O. Nr 3700.